17. VI. 47.

**W numerze: Zagadnienie reformy studiów uniwersyteckich**

Cena 15 zł. 12 stron

# KUŹNICA

Rok III Łódź, 17 czerwca 1947 r. Nr 24 (93)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Wychowanie jedynie może w człowieku wyrobić i ukształcić ten oddzielny nieoszacowany zmysł, który nam zawsze pozwala rozeznać i odróżnić interes powszechny od jednostkowego...

*Aleksander Świętochowski*

## TREŚĆ NUMERU:

STEFAN JĘDRYCHOWSKI — **WALKA O WOLNOŚĆ NAUKI CZY O UTRZYMANIE STAREGO PORZĄDKU**

JÓZEF CHAŁASIŃSKI — **O SPOŁECZNY SENS REFORMY UNIWERSYTETÓW**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **KULTURA ATLANTYCKA**

ALEKSANDER PUSZKIN — **Z ODY „WOLNOŚĆ"**

KAZIMIERZ BRANDYS **SAMSON (IV)**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **NAD KSIĄŻKĄ ANTYNATURALISTY (I)**

ADAM BROMBERG — **PLANY I REALIZACJE (II)**

JULIUSZ ŻUŁAWSKI — **CELESTYNA**

EWA KORZENIEWSKA — **SYMBOLIKA, UTOPIA CZY NIEPORADNOŚĆ**

ALFRED KRYGIER — **O KWARTALNIKU „DZIEJE NAJNOWSZE"**

JAN ZIELIŃSKI **CZYM SĄ, A CZYM MOGĄ BYĆ UNIWERSYTETY LUDOWE**

KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**

**NOTY**

STEFAN JĘDRYCHOWSKI

# WALKA O WOLNOŚĆ NAUKI CZY O UTRZYMANIE STAREGO PORZĄDKU?

JESZCZE nie przebrzmiały echa niedawnego artykułu prof. Józefa Chałasińskiego przeciwko marksizmowi, drukowanego w wielkanocnym numerze „Odrodzenia", a oto już po raz drugi nazwisko to staje się sztandarem opozycyjnego nurtu nie tylko przeciwko ideologicznej ofensywie marksizmu w naszej rzeczywistości, ale i przeciwko kierunkowi przemian, realizowanemu przez obóz polskiej demokracji. Tym razem chodzi o jedno z najważniejszych zagadnień współczesnego życia polskiego, o reformę naszych szkół wyższych. Wprawdzie należy lojalnie przyznać, że artykuł prof. Chałasińskiego dla „Kuźnicy" w tej sprawie został napisany przed publicznym sformułowaniem ministra Skrzeszewskiego programu polskiej demokracji w zakresie reformy szkolnictwa wyższego, nie sądzimy jednak, aby profesor Chałasiński mógł zmienić stanowisko pod wpływem tego wystąpienia. Już od dłuższego czasu działa zresztą Rada szkół wyższych, która pod przewodnictwem Włodzimierza Sokorskiego opracowała w grubszych zarysach tezy reformy. Przeciwko tym właśnie tezom zwraca się prof. Chałasiński. Zresztą artykuł Chałasińskiego p. t. „O społeczny sens reformy uniwersytetów" nie jest zjawiskiem odosobnionym. Tworzy on dość konsekwentną całość z artykułem o humaniźmie socjalistycznym i na tle obecnej konkretnej sytuacji na froncie toczącej się w Polsce walki klasowej ma dostatecznie wyraźną wymowę.

Specyficzną cechą opozycyjności profesora Chałasińskiego i naszej z nim polemiki stanowi to, że Chałasiński swoim dotychczasowym dorobkiem naukowym zdobył sobie prawo obywatelstwa w polskim obozie lewicowym. Jego „Młode pokolenie chłopów", jakkolwiek dalekie od marksizmu, wykazało sporo obiektywizmu naukowego i wiele uczciwej wnikliwości postępowego badacza. Nie zgadzając się ze wszystkimi socjologicznymi uogólnieniami autora, można było wiele skorzystać z wyników jego analizy zjawisk społecznych, zachodzących na wsi polskiej. W całości— badania profesora Chałasińskiego w zakresie socjologii warstwy chłopskiej, podobnie jak opublikowanie „Pamiętników Chłopów" miały nie tylko w nauce polskiej, ale i w całej ówczesnej rzeczywistości polskiej potężny, postępowy wydźwięk, jako świadectwo ogromnego wzrostu roli mas ludowych polskiej wsi w walce o ukształtowanie nowego społecznego oblicza Polski. Jednej jego z współczesnych prac pt. „Szkoła w społeczeństwie amerykańskim" (Kraków 1936) nie wahałbym się nazwać prawie marksistowską, choć może nieświadomie marksistowską.

Cóż więc pcha dziś Chałasińskiego na drogę ideologicznej walki z marksistowską teorią, która była orężem zwycięstwa politycznego mas ludowych Polski i jest nadal orężem naszej walki o przyszłe oblicze Polski, co pcha go na drogę walki z praktyką polskiej demokracji w dziedzinie nauki i kultury?

Wystąpienie prof. Chałasińskiego w obronie autonomii uniwersytetów ma niewątpliwie głębszy podkład w jego ocenie obecnej polskiej rzeczywistości i w jego stosunku do praw rządzących rozwojem społeczeństw w ogóle. W artykule, z którym polemizuję, Chałasiński przeciwstawia sobie dwie metody reform społecznych: rewolucyjną i eksperymentalną. Uznaje skuteczność metody rewolucyjnej w dziedzinie zmiany układu sił politycznych i umożliwienia reform społecznych, odmawia jej jednak zdolności do zrealizowania „społecznych wartości demokracji". Zdaniem Chałasińskiego metoda rewolucyjna, stosowana bez ograniczeń, prowadzi nieuchronnie do biurokracji i unicestwia społeczne cele rewolucji. W innym miejscu tego samego artykułu Chałasiński nazywa biurokratyzację nieuchronnym zjawiskiem, towarzyszącym tendencji do upaństwowienia różnych dziedzin życia zbiorowego. Ograniczenie biurokracji i podporządkowanie jej społecznej kontroli uważa Chałasiński za jeden z naczelnych i najtrudniejszych problemów demokracji.

Pogląd prof. Chałasińskiego na znaczenie biurokratyzacji, jako zjawiska społecznego, jest fałszywy zarówno w swoim sformułowaniu ogólnikowym, jak i w szczególności w zastosowaniu do naszych konkretnych warunków. W swoim sformułowaniu ogólnym teza Chałasińskiego zdradza bardzo bliskie pokrewieństwo z teorią elit Vilfredo Pareto. Rewolucja wynosi do władzy nową grupę polityczną, jednak stosowanie przez nią bez ograniczenia metody rewolucyjnej prowadzi do biurokratyzacji i tym samym do zniweczenia społecznych skutków rewolucji. W tym sformułowaniu zatraca się klasowy sens rewolucji, jej charakter, jako szczególnego wypadku, szczególnej formy klasowej, udział w niej poszczególnych klas społecznych i realizowane w niej zadania społeczne. Pozostaje jakaś nieokreślona bliżej grupa polityczna, która już łatwo, po zwycięskiej rewolucji, może przerodzić się w poza klasową i ponadklasową biurokrację a nawet unicestwić społeczne zdobycze rewolucji. Jeżeli tak, to istotnie najpilniejszym zadaniem demokratów winna być walka przeciwko tej biurokracji i przeciwko stosowanym przez nią rewolucyjnym metodom.

Czy tak jest w istocie. Czy tak jest w szczególności w Polsce? Niewątpliwie w niejednej rewolucji w przeszłości, w rewolucji, która obalała panowanie jednej klasy wyzyskiwaczy po to, aby ustanowić panowanie innej klasy wyzyskiwaczy, rozwój wypadków po zwycięstwie rewolucji prowadził często do zniweczenia tych zadań społecznych, które stawiały sobie różne klasy, czy grupy społeczne, biorące udział w rewolucji. Tak np. ustanowienie wielkiej burżuazji w wyniku rewolucji francuskiej zniweczyło pewne zdobycze społeczne drobnej burżuazji, czy młodego jeszcze proletariatu. Nie stało się to jednak skutkiem działań jakiejś ponadklasowej biurokracji. Biurokracja, która ujęła rządy w swe ręce, ujęła je w imieniu i na rzecz ściśle określonej klasy społecznej, a mianowicie wielkiej burżuazji. Zniweczenie części zdobyczy społecznych rewolucji nie było też wynikiem stosowania bez ograniczenia metod rewolucyjnych, ale wręcz przeciwnie zahamowania rozpędu rewolucyjnego, wynikiem kontrrewolucji.

Inaczej rzecz przedstawia się w rewolucji proletariackiej, która obala panowanie burżuazji, ale wraz z panowaniem burżuazji obala panowanie wyzyskiwaczy w ogóle, po raz pierwszy w historii oddaje władzę klasie społecznej, której historycznym zadaniem jest zniesienie wyzysku w ogóle, budowa społeczeństwa bezklasowego. Rewolucja proletariacka łamie biurokratyczny aparat burżuazji i buduje swój własny, nowy aparat państwa dyktatury proletariatu. Nie ma tu miejsca na powstanie jakiejś ponadklasowej biurokracji, która by była ponad proletariatem i zniweczyła zdobycze społeczne mas ludowych. Jest natomiast miejsce na walkę klasową, która prowadzi albo do zniweczenia zdobyczy rewolucji i restauracji kapitalizmu, albo do utrwalenia i rozwoju rewolucji i jej socjalnych zdobyczy. Droga do zniweczenia społecznych zdobyczy rewolucji proletariackiej prowadzi więc nie przez nieograniczone stosowanie metod rewolucyjnych, lecz odwrotnie przez kontrrewolucję. Były wprawdzie teorie, które usiłowały przypisać rewolucji rosyjskiej wyrodzenie się w system rządów jakiejś ponadklasowej biurokracji, zwracającej się przeciw masom ludowym, ale sądzimy, że doświadczenie ostatniej wojny w sposób zupełnie naoczny udowodniło całą absurdalność tych antysowieckich teorii.

Oczywiście nie znaczy to ,aby niebezpieczeństwo biurokratyzmu nie istniało po zwycięstwie rewolucji proletariackiej. Widział to niebezpieczeństwo, wskazywał je i wzywał do walki z nim — wódz rewolucji rosyjskiej — Lenin. Niebezpieczeństwo to nie jest jednak skutkiem nieograniczonego stosowania rewolucyjnych metod, lecz przeciwnie pozostałością całych wieków trwania poprzednich formacyj społecznych, opartych na panowaniu klasowym mniejszości nad ogromną większością społeczeństwa.

Tych przemian społecznych, które przeżyliśmy w Polsce w latach 1944-1947, nie podobna nazwać ani rewolucją proletariacką, ani rewolucją burżuazyjną. Była to rewolucja „sui generis", określona często, jako „łagodna rewolucja", rewolucja bez przelewu krwi. Nasza rewolucja obaliła niemiecką okupację, a wraz z nią położyła kres panowaniu obszarników i wielkiego kapitału, oddała władzę w ręce mas ludowych, w ręce klasy robotniczej, podstawowej masy chłopskiej, inteligencji pracującej i drobnych wytwórców w miastach. Nasza rewolucja zlikwidowała wielką własność ziemską i wielki i średni kapitał w górnictwie, przemyśle i transporcie, likwidując tym samym podstawy ekonomiczne klasowego panowania wielkiego kapitału i obszarników. Nasza rewolucja nie złamała starego aparatu państwowego, który częściowo został już poprzednio zniszczony przez okupanta. Jednak budując swój własny aparat państwowy, demokracja ludowa w Polsce wykorzystała częściowo stary materiał, odziedziczony po reżimie sanacyjnym. Łatwo, przyglądając się naszemu aparatowi państwowemu, dostrzec, że jest on w bardzo nierównomiernym stopniu odnowiony. Obok takich gałęzi administracji, które zostały odnowione gruntownie (jak np. bezpieczeństwo, wojsko) mamy gałęzi bardzo mało dotknięte zmianami (sądownictwo, szkolnictwo, administracja skarbowa, częściowo administracja ogólna administracja gospodarcza).

Stąd i niebezpieczeństwo biurokratyzacji, oderwania się poszczególnych ogniw aparatu od mas ludowych i nawet przeciwstawienie się ich masom ludowym, rządzącym w Polsce, jest szczególnie wielkie, daleko większe niż w Rosji po rewolucji proletariackiej. Niebezpieczeństwo to jest tym silniejsze, że klasy posiadające w Polsce zachowały dość rozległy stan posiadania, aby przeciwstawiać się masom ludowym i próbować wydrzeć im zdobycze społeczne rewolucji. Zachował, a nawet rozszerzył swój stan posiadania, wyrósł na likwidacji Żydów polskich podczas okupacji, na szabrze i spekulacji specjalnie żarłoczny, spekulacyjny kapitał handlowy. Kapitał ten stara się oddziałać na różne ogniwa naszego aparatu państwowego w kierunku dla siebie pożądanym, używajac najrozmaitszych metod i nie gardząc zwykłą ordynarną korupcją.

Nie w metodach rewolucyjnych, stosowanych przez rządy ludowe, należy więc szukać źródeł biurokratycznego niebezpieczeństwa, ale w pozostałościach dawnego ustroju, wzmocnionych walką prowadzoną przeciwko ludowi środkami ekonomicznymi i politycznymi przez klasy posiadające. Profesor Chałasiński zarzuca obozowi demokratycznemu idealizowanie biurokracji państwowej i partii politycznej. Zapewne od niebezpieczeństwa biurokratyzmu nie jest wolny i aparat partyjny partii demokratycznych. Ale szukać tu właśnie niebezpieczeństwa, grożącego zdobyczom społecznym rewolucji, t. zn. zamykać oczy na toczącą się w społeczeństwie polskim walkę klasową i na prawdziwe niebezpieczeństwo, grożące demokracji.

W ciągu dwóch lat demokracja polska walczyła z próbami restauracji starego porządku, walczyła o utrwalenie rewolucyjnych zdobyczy przeciwko reakcji, posługującej się metodami dywersji i terroru, legalnej opozycji i gry obliczonej na interwencję zagraniczną. Po osiągnięciu stabilizacji politycznej rządów demokratycznych w Polsce, masy ludowe w Polsce w dalszym ciągu prowadzą bardzo ciężką walkę klasową przeciwko spekulacji i pasożytnictwu, walkę ekonomiczną i polity-

czną. W tej sytuacji uważać, że główne niebezpieczeństwo grozi demokracji ze strony aparatu państwowego i partii politycznych, to coś więcej niż zwykły błąd w ocenie zjawisk. To już tendencja, mająca określoną wymowę klasową. Przynajmniej obiektywnie.

O istnieniu podziału społeczeństwa na klasy, walki klasowej, o istnieniu wielu przeżytków przeszłości w świadomości szerokich mas, zapomina prof. Chałasiński, przeciwstawiając marksizmowi postulat moralny „życzliwości powszechnej". Prof. Chałasiński uważa, że realizacja tego postulatu jest praktycznie możliwa dlatego, że istota ludzka jest nietylko „małpą", murzynem czy arystokratą, lecz także człowiekiem. Jak sądzę, należy rozumieć przez to, że istnieją ogólno-ludzkie, pozahistoryczne zasady moralne, które niewiadomo dlaczego nie zostały w ciągu tylu wieków praktycznie zrealizowane. Na ten zarzut prof. Chałasiński nie potrafi w sposób naukowy odpowiedzieć, wychodząc ze swojego założenia, że istnieją przyrodzone, właściwe człowiekowi na wszystkich stadiach jego rozwoju normy moralne.

Marksistowska nauka daje objaśnienie tego zjawiska. Moralność ich jak i wszystkie inne zjawiska społeczne nie jest odwieczna i niezmienna. Normy i zasady moralne mają charakter historyczny, rozwijają się wraz ze zmianami jego ustroju. Postęp w dziedzinie moralności związany jest z postępem społecznym.

Nie znaczy to, abyśmy uznawali, że nie ma takich elementarnych zasad i norm moralnych, które raz powstawszy i utrwaliwszy się w świadomości ludzkiej, przechodzą z jednej formacji społeczno-historycznej do drugiej, czego też są wspólne różnym klasom społecznym. Jednak treść moralności tj. historycznego zespołu norm moralnych, panującego w danej epoce, jest niewątpliwie zmienna i nosi cechy tej klasy, która panuje w dziedzinie materialnej produkcji.

Czem jest moralny postulat „życzliwości powszechnej" w społeczeństwie kapitalistycznym, którego dominantą moralną jest walka człowieka z człowiekiem o zarobek, o zysk, o majątek? W najlepszym razie pobożnym życzeniem jednostki, popadającej w konflikt ze społeczeństwem, a znacznie częściej ze swoją obłudą. Jedynie w walce klasowej przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu, w walce klasowej prowadzonej przez klasę robotniczą i masy ludowe wysuwa się nowa moralność, która wprawdzie nie może mieć cech „życzliwości powszechnej", jednakowo odnoszącej się do wyzyskiwacza i do broniącego jego interesów policjanta, jak i do towarzyszy walki, ale która kapitalistyczną moralność walki człowieka z człowiekiem zastępuje moralnością solidarności w walce z życzliwością człowieka wobec człowieka w walce o nowy, lepszy ustrój społeczny.

W naszych warunkach postulat moralny „życzliwości powszechnej" może mieć różny wydźwięk. Jeśli mówiąc o jego praktycznej realizacji, ma się na myśli możliwość historyczną praktycznej realizacji, socjalizmu, społeczeństwa bezklasowego, w którym życzliwość człowieka do człowieka nie byłaby zakłócona zjawiskami walki klasowej i znalazłaby swój najpełniejszy rozwój, to można się z tym zgodzić.

Ale jeżeli postulat życzliwości powszechnej ma oznaczać jednakową życzliwość dla mas ludowych, wykuwających w ciężkim trudzie i walce swoją lepszą przyszłość, co dla wyzyskiwaczy i spekulantów, oszustów i szabrowników, żerujących na trudnościach gospodarczych i tuczących się pracą innych? Jeżeli postulat życzliwości powszechnej ma obejmować hitlerowskich zbrodniarzy z ostatniej wojny, morderców faszystowskich zza węgła, rasistów, organizujących pogromy antysemickie w rodzaju kieleckiego? Jeżeli ma on oznaczać stępienie ostrza walki klasowej, walki przeciwko temu wszystkiemu, co jest pozostałością i przeżytkiem niedawnej przeszłości — to nie ma nic bardziej sprzecznego z marksizmem.

Wysuwanie dziś postulatu moralnego „życzliwości powszechnej" i przeciwstawianie go tym normom i zasadom moralnym, którymi kieruje się przodująca część narodu w walce ze złą przeszłością o lepszą przyszłość, może być traktowana obiektywnie tylko jako depresja, która odbiera klasie robotniczej i jej sojusznikom ich broń lub stara się tę broń stępić.

Nie znaczy to, abyśmy zwalczali fałszywie humanitarny postulat „życzliwości powszechnej" w imię jakiegoś egoizmu jednostkowego czy grupowego. Walcząc o zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, o lepsze jutro całego społeczeństwa, klasa robotnicza realizuje w tej walce, w stopniu najwyższym, w jakim w obecnych warunkach jest to możliwe, nowy socjalistyczny stosunek człowieka do człowieka, szacunek dla jednostki i jej rozwoju, przeciwstawiając jednocześnie egoizmowi klas posiadających swoje pojęcie moralne dobra społecznego, dobra publicznego, a tym samym i życzliwości bardziej powszechnej, niż w jakiejkolwiek dotąd epoce historycznej.

Przechodząc z kolei do ściślejszego tematu naszej polemiki, mianowicie do reformy szkolnictwa wyższego, ugrupujemy wywody profesora Chałasińskiego w kilka podstawowych tez:

1. Powojenne wyczerpanie i zmęczenie polskich uczonych i profesorów jest ważniejszym czynnikiem martwoty i izolacji społecznej uniwersytetów niż t. zw. „reakcyjność" uniwersytetów.

2. Nowa społeczna koncepcja uniwersytetu może się zrodzić tylko eksperymentalną metodą.

3. Konieczne jest ograniczenie roli czynnika partyjno - politycznego w tym, co się nazywa kulturą, sztuką i nauką.

4. Autonomia uniwersytetów winna wzrastać w miarę upaństwowienia życia ekonomicznego.

5. Prasa demokratyczna przeszczepia na nasz grunt hitlerowskie formy denuncjacji.

6. Wartość nauki dla demokracji polega nie na demokratycznym propagowaniu jakiejś jednej teorii naukowej, lecz na krytycznej metodzie myślenia naukowego, która usuwa bezkompromisowość.

Nikt nie zaprzeczy, że powojenne wyczerpanie i zmęczenie polskich uczonych i profesorów jest ważnym czynnikiem martwoty naszych uniwersytetów. Dodać do tego należy pięcioletnie oderwanie od ośrodków naukowych krajów demokratycznych. Ale izolacja społeczna polskich uniwersytetów ma swoje głębsze korzenie. Izolowały się one od masowych ruchów społecznych, od dążeń mas ludowych, a więc od tego, co jest najżywotniejsze w społeczeństwie, już w okresie międzywojennym. Polskie uniwersytety izolowały się prawie całkowicie również od nauki radzieckiej. Zacofanie naukowe i społeczne uniwersytetów polskich, stanowiące ich charakterystyczną cechę jeszcze przed wojną, znacznie się pogłębiło jeszcze w wyniku wojny i okupacji. Nietrudno również dostrzec ślady mimowolnego ulegania wpływom hitlerowskiej nauki. Nie można oderwać obniżenia poziomu naukowego od reakcyjności. Walcząc ze wstecznictwem i zacofaniem na naszych uniwersytetach, walczymy także i tym samym o podwyższenie ich poziomu naukowego.

Profesor Chałasiński chce nas skazać jedynie na eksperymentalną metodę reformy uniwersytetów. Przeciwstawia się metodzie rewolucyjnej, którą utożsamia z biurokratyczną. Być może, gdybyśmy nie żyli w epoce rewolucyjnych przemian w każdej dziedzinie życia, metoda proponowana przez Chałasińskiego byłaby wystarczająca. Dziś jednak ta metoda nie wystarcza i nie prowadzi do celu. W obliczu zmian społecznych i gospodarczych, uniwersytety tak dalece pozostały w tyle za życiem społecznym, że na efekty metody eksperymentalnej nie wolno czekać. Stan rzeczy, istniejący w wyższym szkolnictwie, pozostawiony samemu sobie, bo do tego ostatecznie sprowadza się sugestia Chałasińskiego, oznaczałby poważne zahamowanie dalszego postępu społecznego. Siła bezwładu, która w dziedzinie nauki, kultury i sztuki może być szczególnie wielka, mogłaby doprowadzić do kompletnego marazmu. Na to masy ludowe, chcące sobie przyswoić dorobek kulturalny przeszłości i rozwijać go dalej, nie mogą pozwolić. Dlatego reforma uniwersytetów w Polsce musi być i winna być przeprowadzona wszystkimi dostępnymi metodami i zarówno metodą zmian od wewnątrz, od dołu, jak i metodą zmian od góry. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że żadna z tych metod nie wywoła natychmiastowego przewrotu w panujących stosunkach. Zdajemy sobie sprawę z trudności i z powolności zmian w tej dziedzinie. Tym bardziej jednak należy się nastawić na planowe i systematyczne oddziaływanie.

Żądanie ograniczenia roli czynnika partyjno - politycznego w kulturze, sztuce i nauce równa się żądaniu wyeliminowania wpływu mas ludowych na te dziedziny życia. W obecnych warunkach i przy obecnym swoim poziomie kulturalnym masy ludowe nie są w stanie w sposób żywiołowy, niezorganizowany oddziałać w poważnym stopniu na naukę, kulturę i sztukę. Partie polityczne stanowią najbardziej świadomą, najlepiej teoretycznie uzbrojoną organizację mas ludowych. Jakże można je wykluczyć od wpływu na naukę, szerokich mas. Żądać tego, to znaczy, żądać monopolu na naukę, kulturę i sztukę dla tych klas posiadających, które w życiu Polski jeszcze istnieją, jak i dla pozostałości tych klas, które z tego życia zostały wyeliminowane.

Oczywiste jest, że wpływ czynnika partyjnego na naukę, kulturę i sztukę przybiera inne formy, niż wpływ na administrację i politykę gospodarczą. Winien on się wyrażać przede wszystkim w tworzeniu ośrodków przodującej myśli teoretycznej, w kształtowaniu świadomego, krytycznego stosunku opinii publicznej, przodujących elementów społeczeństwa do zjawisk, zachodzących w sferze nauki, kultury i sztuki. Aluzja profesora Chałasińskiego o światowej tendencji do podporządkowania nauki sztabom generalnym i politycznym wywodzi się z tego samego źródła, co inne jego koncepcje. Nie dostrzec różnicy pomiędzy brutalnym podporządkowaniem nauki potrzebom militarnym wojującego, antyludowego imperializmu, a świadomym dążeniem mas ludowych do wprzągnięcia nauki w służbę postępu ludzkości, można tylko w tym wypadku, jeśli się neguje nie tylko twórczą rolę walki klasowej, ale i samą ideę postępu.

Niewątpliwie do prawdziwej wolności nauki ludzkość dojść może dopiero w społeczeństwie bezklasowym, gdy interesy klasowe klas reakcyjnych nie będą wpływały zniekształcająco na kształtowanie się poglądów naukowych. W tym sensie rację miałoby twierdzenie, że autonomia nauki wzrastać będzie w miarę rozwoju ku socjalizmowi i przechodzeniu od niższych do wyższych stadiów socjalizmu. Ale droga do prawdziwej wolności nauki prowadzi po przez przezwyciężenie wstecznych i fałszych teorii naukowych. Profesor Chałasiński obawia się ingerencji państwa, obawia się tandetnych habilitacji politycznych. Sprawą ambicji i godności demokracji będzie, aby habilitacje, przeprowadzane przez komisję przy Ministerstwie Oświaty nie miały tego charakteru. Ale ileż to tandetnych habilitacji „apolitycznych" przeprowadzono przy stosowaniu dotychczasowego systemu. Obrona autonomii uniwersytetów przed ingerencją ze strony państwa w obecnych warunkach jest równa próbie zahamowania wszelkiej reformy.

I według nas wartość nauki polega nie na dogmatycznym propagowaniu jakiejś teorii, lecz na krytycznej metodzie myślenia naukowego. Dla nas jednak ta krytyczna metoda myślenia naukowego prowadzi nie do usuwania bezkompromisowości, jak u Chałasińskiego, czyli do jakiegoś eklektyzmu, ale do krytycznego przezwyciężenia poglądów niesłusznych i krytycznego uznawania i rozwijania tych teorii, które okazały się słuszne. Bardzo wątpliwe jest, czy można uważać za zdobycz demokracji, iż w dziedzinie nauk społecznych każda teoria byleby odpowiadała pewnym zewnętrznym formalnym kwalifikacjom uważana jest za naukową. Za bardziej odpowiadający pojęciom wolności nauki, raczej według nas uważać należe ten stan rzeczy, do którego doszły nauki przyrodnicze, gdzie kryteria naukowości teorii są daleko bardziej obiektywne.

My uważamy, że marksistowska nauka o rozwoju społeczeństw i marksistowska teoria ekonomii politycznej wytrzymały próbę bycia i konfrontację z rzeczywistością o wiele lepiej, niż niejedna bardzo błyskotliwa pozornie teoria, która miała służyć celowi obalenia marksizmu. Marksizm dał objaśnienie praw rozwoju współczesnego społeczeństwa i wskazał przodującej klasie społecznej drogę działania. Osiągnięcia ruchu robotniczego są potwierdzeniem naukowej wartości marksizmu. Nie uważamy, oczywiście, marksizmu za zbiór dogmatów, lecz za naukę, która stale się rozwija i wzbogaca w miarę rozwoju ludzkości.

Jesteśmy dalecy od tego, aby żądać dla marksizmu monopolu na naszych uniwersytetach. Uważamy, że tak, jak istnieją u nas różne klasy i partie, tak samo istnieją i będą się ścierały różne teorie społeczne. Jesteśmy pewni, że z tego ścierania się różnych doktryn i teorii, marksizm wyjdzie zwycięsko. Ale żądamy dla marksizmu miejsca i to godnego miejsca na naszych uczelniach wyższych.

Wyjątkowo niefortunny przykład wybrał profesor Chałasiński dla zilustrowania swojej tezy o wolności nauki. Antropologiczna teoria socjologii już w końcu XIX wieku miała wyjątkowo wątpliwą wartość naukową. Jej charakter klasowy, jako teorii uzasadniającej panowanie rasy białej nad innymi rasami i dającej antropologiczno - rasowe uzasadnienie panowania klasowego — jest aż nadto oczywisty. Zacytowane przez „Trybunę Wolności" urywki z wykładu profesora Bystronia aż nadto potwierdzają tę prawdę. Nieprzypadkowe jest, że teoria ta rozwinęła się w epoce imperializmu, nieprzypadkowe też jest, że najbardziej drapieżna odmiana imperializmu, niemiecki hitleryzm, wychodząc z założeń antropologicznej teorii socjologii, rozwinął ją w konsekwentny system doktryny rasistowskiej, w imię której tępił fizycznie całe narody. Zdawałoby się, że to wszystko winno dostatecznie kompromitować naukowość socjoantropologii. Błąd w ocenie tej teorii, który Krzywicki popełnił w 1901 r., nie może służyć za usprawiedliwienie dla Bystronia w 1947 r. Charakterystyczne jest przy tym, że prof. Chałasiński, który w innym miejscu zdawał się odmawiać naukowego charakteru marksizmowi, był tak pochopny w przyznaniu naukowej wartości antropologicznej teorii socjologii.

Jeżeli na tle polemiki z Bystroniem Chałasiński pisze o „przeszczepianiu hitlerowskich metod denuncjacji", to można sobie to tłumaczyć tylko jako chęć zamknięcia demokracji polskiej ust wobec wszelkich bredni, które mogą być wypowiadane z katedry naukowej. W imię walki z denuncjacją można przecież zażądać wyrzeczenia się krytyki jakiejkolwiek teorii. A więc — wolność krytyki dla krytyków marksizmu, nawet jeśli w „naukowy" sposób rozprawiają się z marksizmem w dwóch pogardliwych zdaniach, ale zaraz krytyki wszelkiego rodzaju pseudonaukowych teorii? I to ma służyć sprawie demokracji?

My na to „przeszczepianie hitlerowskich metod denuncjacji" mamy pogląd własny. Nie wahalibyśmy się krytykować antroporasistowskich poglądów Bystronia, gdyby wypowiadał je w latach 1934 — 1938, w latach pomyślnego klimatu politycznego dla rasizmu i nie zawahamy się krytykować ich teraz, nie pozwolimy sobie zamknąć ust w imię „wolności nauki".

A profesor Chałasiński powinienby zastanowić się nad tym, że polemika nie toczy się w jakiejś próżni społecznej, ale na tle wypełnionym żywą treścią społeczną i walką klasową i że jego walka w obronie autonomii nauki przeciwko „biurokracji państwowej i partyjnej" nabiera w tych warunkach obiektywnie zupełnie określonego znaczenia i że niezależnie od swego osobistego pragnienia staje on w tej walce w tym szeregu, który hamuje postęp społeczny. Mistyfikacja, że walka prof. Chałasińskiego przeciwko marksizmowi prowadzona jest z pozycyj położonych wewnątrz obozu polskiej lewicy, winna ustać. Jest ona niepotrzebna i szkodliwa.

**Stefan Jędrychowski**

---

**TREŚĆ Nr 23**

Jerzy Plechanow — **O roli jednostki w historii.** Kazimierz Budzyk — **O państwowy plan wydawniczy.** Adam Bromberg— **Sto tysięcy stron.** Ryszard Matuszewski— **Po wizycie pisarzy czeskich i słowackich.** Kazimierz Brandys — **Samson (III).** Mariusz Margal — **Płynie rzeka czerwona przez Hanoi.** Zdzisław Hierowski — **Kłopoty czy błędy radiofonii polskiej.** Roman Bratny — Stanisław Wygodzki — **Wiersze.** Julia Hartwig — **Kronika francuska.** Stefan Otwinowski — **W Krakowie (list dwudziesty).** Kandyd — **Tak toczy się światek. Przegląd Prasy. Noty.**

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

# O społeczny sens reformy uniwersytetów

**Problem uniwersytetów a opinia publiczna**

DYSKUSJA nad reformą szkół akademickich wyraźnie się nie klei. Redaktor Żółkiewski robi co może, zarówno w „Kuźnicy" jak i w „Odrodzeniu".—Wszystko bez większego powodzenia. Artykuły samego Żółkiewskiego oraz Jaroszyńskiego i Sokorskiego, którzy są bezpośrednio zaangażowani w pracach nad reformą szkolnictwa, nie poruszyły opinii publicznej w tej sprawie. Czy mogły ją poruszyć? Czy w Polsce jest opinia publiczna? Czy była kiedykolwiek? Czy teraz jest pod tym względem lepiej niż przed wojną? Czy toczyły się wielkie dyskusje publiczne? Czy toczą się obecnie? Biurokratyzacja spraw oświatowych i kulturalnych należy już do naszej tradycji. Cechowała ona szkolnictwo nasze i organizację kultury przed wojną. Obecnie idziemy w tym kierunku znacznie dalej, niż przed wojną. **W znacznej mierze wiąże się to z ogólną tendencją do upaństwowienia różnych dziedzin życia zbiorowego, nie tylko gospodarki. Gdy znikają prywatne i społeczne zasoby gospodarcze, a na ich miejsce przychodzi państwo, biurokratyzacja wraz ze swoimi dodatnimi, jak i ujemnymi skutkami, staje się zjawiskiem nieuchronnym. W ramach upaństwowionych form życia zbiorowego ograniczenie biurokracji i podporządkowanie jej społecznej kontroli staje się jednym z naczelnych i równocześnie najtrudniejszych problemów demokracji.** Przeciwdziałanie biurokratyzacji staje się w tych warunkach sprawą demokracji, zwłaszcza w takich krajach, jak w Polsce, gdzie nie ma tradycji samorządu społecznego.

Takie refleksje nasuwają się, gdy się zabiera głos w obecnej anemicznej dyskusji na temat reformy uniwersytetów. Mam wziąć udział w publicznej dyskusji nad uniwersytetami. Po co? Ponieważ opinia publiczna jest doniosłym elementem kształtowania się życia zbiorowego. Stała się ona tak dalece istotnym elementem nowoczesnego społeczeństwa, że nawet takie systemy rządzenia, które faktycznie się z nią nie liczą, szukają w niej sankcji dla siebie, jak to miało miejsce w ustrojach faszystowskich.

W naszym życiu publicznym opinia publiczna nie była nigdy ważnym czynnikiem życia politycznego. **A jednak bez opinii publicznej nie ma demokracji.— Bez opinii publicznej demokracja jest w ogóle niemożliwa. A opinia publiczna nie powstaje w próżni. Ona się zawsze opiera na społecznych zrzeszeniach, niezależnych od państwa. Jest to warunek demokracji obowiązujący wszędzie, niezależnie od zmiennego układu stosunków klasowych.** W różnych okresach demokracji odmienny był typ zrzeszenia społecznego, który stanowił podstawę opinii publicznej. W społeczeństwach kapitalistycznych na czoło wysunęły się z jednej strony organizacje interesów ekonomicznych, a z drugiej strony — ruch zawodowy.

Jaki to ma związek z reformą uniwersytetów? Bardzo ścisły. Uniwersytety i w ogóle organizacja nauki należą do tych dziedzin kultury, których autonomia winna wzrastać w miarę upaństwowienia życia ekonomicznego. — Z punktu widzenia demokracji upaństwowienie ma sens o tyle, o ile ostatecznie służy pełnemu i swobodnemu rozwojowi kulturalnemu. Po to się wywłaszcza „kapitał", aby nie gniótł swobodnego rozwoju, lecz przeciwnie, aby mu służył. Dlatego upaństwowienie różnych dziedzin życia, zrozumiałe w naszych warunkach z punktu widzenia koniecznej koordynacji i racjonalnej organizacji wszelkich sił dla odbudowy i przebudowy kraju, ma swoje granice. Nie może być sprzeczne z demokratycznymi celami, którym ma służyć.

**Ograniczanie do minimum biurokratyzacji, ograniczanie do minimum roli czynnika państwowego i partyjno-politycznego w tej dziedzinie, którą potocznie nazywa się „kulturą, sztuką i nauką" jest nie tylko konieczne z punktu widzenia ostatecznego demokratycznego celu reform gospodarczych i politycznych. Ono jest także konieczne z punktu widzenia samego procesu demokratyzacji.** Autonomia „kultury, sztuki i nauki" jest niezbędna dla demokracji właśnie jako dziedzina kształtowania się publicznej opinii. Bez takiej autonomii tych dziedzin nie może być opinii publicznej, a bez opinii publicznej — nie może być demokracji.

Z punktu widzenia demokracji, kontroli opinii publicznej podlegać musi nie tylko biurokracja państwowa, lecz i partyjna. Masowe organizacje zawodowe i polityczne padają łatwo ofiarą biurokratyzacji, zwłaszcza w krajach o niskiej kulturze politycznej jak Polska. Biurokratyzując się, partie przestają pełnić pozytywną rolę w kształtowaniu się opinii publicznej. Dążą do monopolu na opinię publiczną i nie wyrażają jej, ale ją „konfiskują". Dlatego też z punktu widzenia demokracji niezbędne jest istnienie niezależnych bezpartyjnych ośrodków opinii publicznej. Nie potrzebuję rozwodzić się nad tym, że, podkreślając zasadnicze znaczenie autonomii „kultury, nauki i sztuki', nie chodzi o ich społeczną obojętność. — Wprost przeciwnie, chodzi o ich maksymalne uspołecznienie i związanie z problemami nurtującymi społeczeństwo. — Biurokratyzacja „kultury, sztuki, nauki" nie jest jednak drogą do ich uspołecznienia, lecz przeciwnie jedną z najbardziej podstawowych przeszkód na tej drodze.

Reformę szkół wyższych traktować należy z punktu widzenia jej celu społecznego, z punktu widzenia tego, czym uniwersytety powinny być w demokracji nowoczesnej. A czym być powinny? Nie tylko ośrodkami pracy badawczo-naukowej i wykształcenia zawodowego na najwyższym poziomie, jak dotychczas. One powinny być także tym, czym u nas nigdy nie były — ośrodkami opinii publicznej w sprawach kultury, pozostając w jak najściślejszym kontakcie z najszerszymi sferami społeczeństwa. Tak pojęte uniwersytety nabierają charakteru podstawowych intytucji demokratycznych, gdyż bezpośrednio dotyczą kultury, od której zależy cały sens demokracji. By taką funkcję uniwersytety mogły spełniać, muszą być niezależne od czynników państwowych i partyjnych. Zbyt często krytykując uniwersytety, popada się w drugą jednostronność idealizowania biurokracji państwowej i partii politycznej.

Reforma uniwersytetów jest konieczna po to, aby je skierować ku nowym funkcjom społecznym. Niestety same uniwersytety potrzeby tej na ogół nie rozumieją i inicjatywy w tym kierunku nie przejawiają. Rada Naukowa przy Ministerstwie Oświaty sprawy tej nie podjęła. Nie było opinii publicznej, która by wyprowadziła reformę uniwersytecką na forum publiczne. Stało się to na drodze faktu dokonanego przez czynniki polityczne przez stworzenie Rady Szkół Wyższych. Zadaniem reformy nie jest jednakże utrwalanie takiego stanu rzeczy, lecz wprowadzenie uniwersytetów na właściwe drogi uspołecznienia i autonomii, tak aby same w oparciu o własną organizację autonomiczną stanęły na wysokości problemów nowoczesnego społeczeństwa, nie potrzebując szturchania zzewnątrz. Reforma ma służyć nadaniu społecznego sensu autonomii uniwersytetów, a nie jej likwidacji.

Reforma szkolnictwa akademickiego była potrzebna, jest potrzebna i będzie potrzebna. Będzie potrzebna także po uchwaleniu nowej ustawy akademickiej! Zmiana ustawy akademickiej nie jest bowiem najważniejszym elementem tej reformy. Nie zmieni się wiele, jeżeli powstanie nowa Rada Główna, zamiast dotychczasowych dwóch, jakie już istnieją. **Reforma musi mieć charakter społeczny nie biurokratyczny.** — Nie dokonuje się ona w zaciszu gabinetów ministerialnych. **Demokratyzacja szkolnictwa akademickiego nie może oznaczać nic innego, jak tylko uczynienie tego szkolnictwa przedmiotem zainteresowania najszerszych warstw ludności.** Musi powstać żywa opinia publiczna interesująca się szkolnictwem i śledząca jego sprawy. Zależne to jest również od tego, kiedy same uniwersytety, ożywione duchem bardziej demokratycznym, zbliżą się do społeczeństwa. **Społeczna reforma szkół wyższych ma dwie strony. Jedna strona dotyczy miejsca uniwersytetów w życiu społeczeństwa i rozwoju kultury najszerzych warstw społeczeństwa. Druga — wewnętrznej społecznej struktury uniwersytetów.**

**Potrzeba nowej społecznej koncepcji uniwersytetu i uniwersytet łódzki**

Są dwie zasadnicze metody reform społecznych. Jedna, rewolucyjna, polega na tym, że nowa grupa polityczna zmienia ustrój w sposób gwałtowny i natychmiastowy. Ta metoda, nie rzadko konieczna, zmienia układ sił politycznych i umożliwia reformy społeczne. Sama przez się jednak metoda rewolucyjna ma skuteczność ograniczoną. Osiąga doraźne skutki polityczne. Nie realizuje jednak społecznych wartości demokracji. Przeciwnie, metoda ta stosowana bez ograniczenia prowadzi nieuchronnie do biurokratyzacji i unicestwia w końcu społeczne cele rewolucji. W szczególności w zakresie urządzeń kulturalnych metoda ta ma wartość bardzo ograniczoną.

ROZMAITOŚCI

# Kultura atlantycka

*Różne były próby. Pierwsza pesymistyczna Spenglera — już dziś nie znajdzie naiwnych zwolenników. Rezultat wojny z faszyzmem dowiódł, że zło można zwyciężyć. To też Stalingrad ma mocniejszą wymowę, aniżeli głos mieszczańskiej Kassandry wieszczącej upadek cywilizacji, upadek Zachodu. Drugą próbę dał Bierdiajew, próbę powrotu laickiej, racjonalistycznej, scientycznej kultury europejskiej do fideistycznego, ekstatycznego średniowiecza fanatyzmu, mnichów, stanowości, społecznej stabilizacji. Trzecią próbę obrony tradycjonalizmu mieliśmy w hasłach odrębności kultury zachodniej. Chodziło o odcięcie się od wszystkiego co żywe i twórcze w naszej kulturze europejskiej. Trudno jednak było udowodnić, że rewolucyjny ruch społeczny, że ideologia ruchu robotniczego, hasła przemian ustrojowych nie wyrosły z najbardziej zachodniej, europejskiej tradycji kulturalnej, że myśli, które kształtowały rewolucję październikową nie noszą w sobie dziedzictwa greckich materialistów, świeckiej odwagi Erazma, idealizmu Morusa, patosu wojen chłopskich, tragicznej aprobaty doczesności Szekspira, ostrej myśli encyklopedystów, entuzjazmu — Wiosny Ludów.*

*Nikt nie wziął na serio żartu z kulturą zachodnią separującą instytuty pedagogiczne, czy pracownie fizyczne Moskwy i Londynu, muzea, czy fabryki Leningradu i Paryża.*

*Lecz reakcja polityczna, imperializm kapitału finansowego docenia dziś rolę czynnika ideologicznego. Nie rezygnuje z prób.*

*Publicystyka radziecka pierwsza zwróciła krytyczną uwagę na nowy termin: kultury atlantyckiej. Towarzyszy on imperialistycznej. ekspansji dolarowej Ameryki. Reakcyjne koła intelektualne Europy zachodniej i południowej forsują tę ideę usilnie. To nie jest tylko defensywna, niezdolna oprzeć się atrakcji nowych idej koncepcja tradycjonalistycznej kultury zachodniej. To agresywny mit nowej kultury, mit zwycięstwa kultury amerykańskiej.*

*Poświęcił tej sprawie niezwykle interesujący artykuł I. Konstantynowskij w tygodniku „Literaturnaia Gazeta" (Nr 20 (2335) z 17.V.47). Wśród apologetów tej idei mamy całą elitę intelektualnej reakcji europejskiej: „nawrócony" Andre Malraux, pacież egzystencjalistów Sartre, oczywiście sam Walter Lippman. Pomijam tu lawinę dziennikarzy, reportażystów, całą najemną sforę małych pismaków. Co prostsi z nich przyznają, że główną siłą atlantyckiej kultury jest jej dolarowe wyposażenie. Amerykanie — głosi naiwnie radio ateńskie — mogą kupić co zechcą „materialne bogactwo jest osnową kultury" — a to dla Greków znaczy „kultura poddana jest dolarowi, bo za dolary można kupić rzeźby, obrazy, książki".*

*Dla Malraux kultura atlantycka dopiero się tworzy. Ale dla innych niecierpliwszych już jest, pełna i doskonała. Dla Lippmana granice tej kultury obejmują zachodnią Europę, północną i południową Amerykę oraz Afrykę. Ale i tak dalekie kraje jak Nowa Zelandia dadzą się do niej zaliczyć. Proste? Proste. Granice kultury atlantyckiej pokrywają się z granicami wojennych morskich baz i filii bankowych Stanów Zjednoczonych. Tak wygląda bez obsłonek ideologiczna nadbudowa kapitalistycznego imperializmu.*

*Treść tej kultury, swoiste zdobycze? Malraux wylicza z zapałem: „urbanizacja, cały styl architektoniczny naszych miast, ulic, sklepów; automobil i kino". A przecież Malraux jest Francuzem i powinien znać nazwiska Le Corbusiera, pionierów kinematografii i jedynych wielkich reżyserów świata: Rosjan i Francuzów, Pudowkina i Claire'a, Einsteina i Renoira czy Carne, lub Duviviera.*

*Głosiciele „kultury atlantyckiej" wierni są idei wszystkich wyżej wymienionych prób: zatrzymania postępu kulturalnego, pragną uzasadnić stabilność społeczeństw, stabilność istniejącego ustroju. Stąd hasło wypełnienia nową treścią bierdiajewowskiego powrotu do średniowiecza. Mamy ideę „dolarowego średniowiecza".*

*I to dziś, gdy to co jest istotnie cennego w Ameryce — jej buntownicza powieść społeczna — z całą brutalnością odsłania pustkę i okrucieństwo kapitalistycznego społeczeństwa, gdy jest tępiona i zwalczana w ojczyźnie. I to dziś, gdy przeżywamy upadek filmu amerykańskiego. O czym mówi i pisarz Remarque i filmowy przedsiębiorca Samuel Goldwyn. I to dziś gdy każdy reportaż z Ameryki mówi o dolarowym niewolnictwie sztuki w tym kraju, o pogardzie dla prawdziwych i trudnych wartości kulturalnych, o straszliwej i groźnej komercjalizacji kultury w Stanach Zjednoczonych, o rządach tępych i cynicznych łowców zysku w kulturze tego kraju. Zawiedzie i ta próba. Zawiedzie i atlantycka kultura, jak zawiódł Spengler i Bierdiajew, jak zawiodły kłamstwa o granicy kultury zachodniej przebiegającej po Elbie i Dunaju, ale obejmującej faszystowską Hiszpanię i pustaci australijskie. Kultura europejska, jedna i niepodzielna, jest żywa i twórcza. nadal. Jej to czujne sumienie społeczne i ludzkie pulsuje w gniewnych diatrybach zarówno Erazma jak i Lenina. I trzeba się pogodzić z faktem, że idee, które ucieleśniają najlepsze tradycje europejskiej myśli, że idee, którymi żyje współczesny człowiek i które ożywiają współczesne, twórcze siły społeczne, siły ludowe, że te idee głośniej są wypowiadane w Moskwie, Belgradzie czy Pradze. Ależ w kręgu tych idej znajduje się wszystko co twórcze — a więc znakomita większość — żywych, walczących, poszukujących europejczyków z Paryża, Londynu, czy Rzymu. O losach Anglii decydują dyskusje socjalistów, o odrodzeniu Francji milionowa partia komunistyczna z jej wspaniałymi intelektualistami, o losach Włoch wyzwoleni robotnicy fabryk nadpadańskiej doliny. A treści ich myśli, problemów, dążeń kulturalnych bliższe są myślom, którymi żyje nowy człowiek w Moskwie aniżeli ideom „dolarowej cywilizacji".*

*Jesteśmy w Europie, jednej Europie od Moskwy do Londynu z jej wielką, twórczą, tak przejmująco bliską nam i potrzebną kulturą, ciągle żywą i przodującą. Nie wierzę w upadek zachodu, nowe średniowiecze, atlantycką kulturę. Dynamizm emancypujących się mas ludowych naszego kontynentu, zasięg przeżywanych przemian społecznych w Europie, powszechność myśli o konieczności zmian ustrojowych we wszystkich krajach — to wróży raczej Nowe Odrodzenie. Odrodzenie kultury humanistycznej, wyrosłej z tradycji Heraklita, Rabelais'a, Spinozy czy Kartezjusza, a nie kultury atlantyckiej, kultury baz morskich i banków amerykańskich.*

**Stefan Żółkiewski**

Drugą metodę można by nazwać eksperymentalną. Polega ona na tworzeniu nowych instytucji kulturalnych, które, będąc wyrazem nowych sił i ambicji społecznych, stają do rywalizacji z dawnymi instytucjami. Na tej drodze powstawały różne instytucje kulturalne Europy. Na tej drodze powstało College de France we Francji w XVI w. jako wyraz nowych prądów humanizmu. Na tej drodze powstał także w połowie XIX stulecia Uniwersytet Londyński jako potężny czynnik modernizacji, intelektualizacji i demokratyzacji stosunków uniwersyteckich Anglii.

W początkach 1945 roku, kiedy Ministerstwo Oświaty zaczynało organizować uniwersytety, a „Odrodzenie", wychodzące wówczas w Lublinie jako jedyne pismo społeczno - literackie, było jeszcze organem „łagodnej rewolucji", w sferach uniwerysteckich obawiano się rewolucji na uniwersytetach. Rewolucja nie przyszła. Znikł niepokój, a ze sfer uniwersyteckich Krakowa wyszły słowa uznania dla dawnego swojego wychowanka, a ówczesnego ministra Oświaty, dr Stanisława Skrzeszewskiego.

„Stoimy na stanowisku dzisiejszej, realnej rzeczywistości, lojalnej współpracy z naszymi władzami — mówił prof. dr Tadeusz Lehr-Splawiński, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. —

Jesteśmy wdzięczni Rządowi za ułatwienie nam pracy, a młodzieży naszej— kontynuowania studiów. — Nauka jest celem naszego życia i jego treścią. Muszę tutaj wyrazić szczególną wdzięczność naszą ministrowi Skrzeszewskiemu za jego troskliwość w stosunku do wszystkich spraw dotyczących tak nas, jak i naszej uczelni. Muszę stwierdzić, że nie pamiętam ministra, który by tak pieczołowicie troszczył się o nas i tak szczegółowo wchodził w potrzeby uniwersytetu i profesorów, nie tylko w tym, co się tyczy samej uczelni ale nawet w sprawach prywatnych. Przypuszczam, że ob. Min. Skrzeszewski, który zresztą jest wychowańkiem naszego uniwersytetu, będzie nadal otaczał nas swą opieką" [1]).

Wyraziwszy uznanie ob. Ministrowi, uniwersytet krakowski a za nim i inne ,wróciły do tradycyjnego błogostanu, przerwanego na krótko przez niepokój spowodowany „łagodną rewolucją".

Wydawało się wtedy, że w zakresie reformy uniwersytetów weszliśmy na drogę metody eksperymentalnej. Stare uniwersytety zostały nieprzejednane dla idei głębszej społecznej reformy uniwersyteckiej. Terenem eksperymentu stał się Uniwersytet Łódzki. Dekret o uniwersytecie wyposażał Rektora Uniwersytetu w dyktatorską władzę. Skupiał w jego ręku wszystkie funkcje: Rektora, Senatu i Rad Wydziałowych. Mianowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Rektor podlegał bezpośrednio Ministrowi. W praktyce pierwszy Rektor Uniwersytetu Łódzkiego Prof. Dr Tadeusz Kotarbiński zachował dla siebie organizację naukową Uniwersytetu wraz z obsadą naukowego personelu. Społeczno-polityczną opiekę nad uniwersytetem sprawował bezpośrednio i osobiście wybitny ideowy działacz robotniczy Wiceminister Oświaty Władysław Bieńkowski, tym ściślej związany ze sprawą uniwersytetu, że sam był łodzianinem.

Dyktatorska władza Rektora i bezpośrednia ingerencja Ministerstwa Oświaty w prace organizacyjne to jeszcze nie wszystkie warunki realizacji łódzkiego eksperymentu. Sama Łódź, jako największy ośrodek przemysłowo-robotniczy,wydawała się dobrze wybrana. Tutaj też powstał jedyny ogólno polski organ publicystyczny ruchu marksistowskiego „Kuźnica". Tutaj zrodziła się również „Myśl Współczesna", naukowy organ postępowej myśli demokratycznej, oparty o współpracę intelektualistów marksistowskich z intelektualną lewicą demokratyczną niemarksistowską. „Kuźnica", redagowana przez Żółkiewskiego, niosła ze sobą dawniejsze tradycje intelektualne warszawskiej grupy młodych marksistów, skupiających się przed wojną w Kole Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego. Grupa ta, z której wyszedł Władysław Bieńkowski, kształtowała się pod wpływem dwóch prądów umysłowych: marksizmu i warszawskiego ośrodka filozoficznego.

„Obrońcy empiryzmu wśród młodzieży znaleźli walnych sojuszników — pisze Stefan Żółkiewski o tej grupie w artykule pt. „Ze wspomnień polskiego inteligenta", drukowanym w Kuźnicy (nr. 3 z dnia 21 stycznia 1947 r.)—w uniwersyteckich neopozytywistach na katedrach filozofii. To koryfeuszom tak zwanej szkoły warszawskiej z Leśniewskim i Tarskim na czele, oraz znakomitemu Kotarbińskiemu zawdzięcza nasze pokolenie, iż stale uprzytamniali nam cenę empiryzmu. Ci ludzie nie pozwolili nam nigdy wpaść ślepo w ostateczność idealizmu. Uczyli myśleć. Obuchem swych logistycznych rygorów rozbijali fałszywe i śmieszne konstrukcje fenomenologów, hipotezy Znanieckich, Dilthey'ów, Sprangerów i całej rzekomej nauki odwracającej się od badania związków koniecznych zjawisk, a opierających się na intuicyjnym rozumieniu sensu, ducha, struktury duchowej."

Porozumienie i współpracę wiceministra Bieńkowskiego z Rektorem Kotarbińskim ułatwiały więc dawne związki intelektualne. Bieńkowski był uczniem Prof. Kotarbińskiego na Uniwersytecie Warszawskim i on to uprosił Kotarbińskiego na Rektora Uniwersytetu Łódzkiego. Sam zaś Bieńkowski był indywidualnością żywą, pełną temperamentu, bojową o rozległej kulturze umysłowej. Stefan Żółkiewski, charakteryzując przedwojenną pisarską działalność Bieńkowskiego w zakresie publicystyki historycznej, zestawia go z najwybitniejszymi pisarzami lat międzywojennych. „W latach międzywojennych tak piszących ludzi — pisze Żółkiewski o Bieńkowskim — moglibyśmy liczyć na palcach. Z wybitnych pisarzy poza Krzywickim i Czarnowskim nikogo nie dałoby się wymienić" [2]).

Dodajmy do tego, że Bieńkowski wyszedł z łódzkiej klasy robotniczej, że miał za sobą rodzinne tradycje robotnicze i należał do intelektualnej elity ruchu robotniczego. Czy można sobie wyobrazić lepsze warunki stworzenia nowej społecznej koncepcji uniwersytetu, niż ta symbioza znakomitego nowoczesnego filozofa z żywym, pełnym bojowego temperamentu, intelektualistą robotniczym. Do tego dochodzi grono dawnych uczniów Prof. Kotarbińskiego na katedrach Uniwersytetu Łódzkiego, oraz garść innych przedstawicieli lewicy inteligenckiej. A wszystko to w robotniczej Łodzi, z robotniczą elitą rządzącą miastem, w historycznym dla Łodzi okresie, który wobec zniszczenia Warszawy, otwierał przed nią możliwości szybkiej kariery przeobrażenia się z osady fabrycznej w wielkie miasto z przodującym nowoczesnym i postępowym uniwersytetem.

Wszystkie więc okoliczności zdawały się sprzyjać Łódzkiemu Uniwersytetowi. Można się było spodziewać, że tutaj zrodzi się nowa społeczna koncepcja uniwersytetu.

Co powstało z Łódzkiego Uniwersytetu? Gdyby sądzić z głosów łódzkiej prasy partyjnej, zarzucającej niejednokrotnie Uniwersytetowi Łódzkiemu jego reakcyjność, to trzeba by dojść do wniosku, że z tego eksperymentu powstało coś wprost przeciwnego, niż to co zamierzono. W rzeczywistości jednak wyszedł poprawny uniwersytet, który obecnie już w niejednej dziedzinie nauki polskiej wysuwa się na czoło, a w innych ma duże dane do tego. Pod względem społecznych nastrojów jest on trochę bardziej postępowy, niż inne uniwersytety obecnie i przed wojną, ale mimo to, jest znacznie mniej postępowy, niż dawna Wolna Wszechnica Polska, której profesorów wchłonął Uniwersytet Łódzki. Zwłaszcza w pionierskich ambicjach Uniwersytet Łódzki nie dorównuje dawnej Wolnej Wszechnicy.

Nowa społeczna koncepcja uniwersytetu w Łodzi jeszcze nie powstała. Nie wyłoniła się ona ani z łona samego uniwersytetu, ani z „Kuźnicy", ani z „Myśli Współczesnej". Były ogromne trudności materialnej natury. Okazało się, że mimo wszystkie okoliczności sprzyjające, miasto Łódź nie było w stanie zapewnić Uniwersytetowi podstawy materialnej w postaci gmachów szkolnych i mieszkań dla profesorów. Dla obsadzenia katedr Rektor nie mógł sprowadzać profesorów, ponieważ nie mógł im zapewnić mieszkania. Musiał się ograniczyć do tych, których już zastał w Łodzi, lub którzy byli w pobliżu. Walka o gmachy absorbowała Rektora i jego najbliższych współpracowników. W zdobywaniu gmachów nie pomagały interwencje wiceministra Bieńkowskiego i życzliwość partii politycznych. Każda grupa polityczna chętnie dawała do dypozycji uniwersytetu gmachy — ale cudze, nie swoje. Życzliwość była, ale fakt faktem, że partie polityczne zajęły dla siebie lepsze gmachy niż te, jakimi obdarowały uniwersytet. Uniwersytet robi nieracjonalne inwestycje finansowe w przystosowywanie nieswoich gmachów biurowych na cele zakładów przyrodniczych, podczas gdy z punktu widzenia państwowego i narodowego wskazane byłoby dokonanie zamiany budynków.

W tych warunkach dotychczasowy dorobek organizacyjny Uniwersytetu Łódzkiego jest bardzo dobry. Ale nowej społecznej koncepcji uniwersytetu jeszcze nie widać. Koncepcja taka nie rodzi się z dnia na dzień. Podobnie, jak nie widać jeszcze tego wielkiego miasta, które ma się narodzić z Łodzi — osady fabrycznej, i które ulokuje swoje ambicje w swoim uniwersytecie.

Wypracowanie nowej społecznej koncepcji uniwersytetu pozostaje więc nadal zadaniem przyszłości. **Dotychczasowa polska koncepcja społeczna uniwersytetu jako wielkiej „fabryki" produkującej inteligencję jako rodzaj społecznej arystokracji izolowanej i izolującej się od szerokich mas społeczeństwa nie odpowiada już naszym czasom. Uniwersytet musi znaleźć sposoby duchowego zbliżenia się do ruchu robotniczego i chłopskiego, tak, aby cała atmosfera wychowawcza uniwersytetu zmieniła się do gruntu i wyrastała z kulturalnych form współżycia i współpracy intelektualistów z robotnikami i chłopami w ramach wspólnej kultury narodowej.** Równocześnie nie może się to dokonać kosztem naukowych zadań i naukowego poziomu uniwersytetów.

**Nowa społeczna koncepcja uniwersytetu może się zrodzić tylko eksperymentalną metodą, na drodze rywalizacji między uniwersytetami.** To, co tak opornie kształtuje się w Łodzi, mimo najbardziej sprzyjających warunków, o których była mowa, nie dokona się odrazu w stosunku do wszystkich uniwersytetów na drodze ustawodawczo-biurokratycznej, pod cudownym działaniem ustawy.

Nie znaczy to bynajmniej, by niepotrzebne były żadne zmiany w dotychczasowej ustawie akademickiej. Przeciwnie są one potrzebne. Wszystkie zmiany jednakże muszą mieć na uwadze zasadniczy fakt, że **społeczny sens uniwersytetów, może być osiągnięty tylko przez uaktywnienie samych uniwersytetów. Ustawa musi służyć uaktywnieniu uniwersytetów, a nie temu, aby wykonać dzieło za uniwersytety i dla uniwersytetów, ale — bez uniwersytetów.**

### Zagadnienia autonomii

Z dotychczasowej dyskusji nad uniwersytetami wyłaniają się dwie sprawy zasadnicze. Jedną podniosł Prof. M. Jaroszyński w artykule pt. „Autonomia szkoły czy autonomia nauki" („Kuźnica", 21.10.46). W tej płaszczyźnie leży rzeczywiście centralne zagadnienie reformy uniwersytetów. Idzie o nową wyższą formę autonomii nauki, bardziej przystosowaną do struktury nowoczesnego społeczeństwa, do olbrzymiej roli nauki w tym społeczeństwie i do problemów planowej gospodarki. Idzie o autonomię w skali narodowej, a nie w skali poszczególnych uniwersyteckich partykularzy. Błogostan uniwersyteckiej bezwładności, niezdolność do inicjatywy i działania w okresie, kiedy powstają nowe uniwersytety i cały problem nauki i szkolnictwa wyższego wymaga przemyślenia i przepracowania z punktu widzenia nowych problemów narodowych, jest niezbitym dowodem tego, że uniwersytety nie stoją pod tym względem na wysokości zadania. Najbardziej charakterystyczny pod tym względem jest stosunek innych uniwersytetów do Uniwersytetu Łódzkiego. **Czy z punku widzenia uniwersytetów utworzenie uniwersytetu w Łodzi, w największym robotniczo-przemysłowym środowisku polskim, oraz wypracowanie odpowiedniej koncepcji takiego uniwersytetu nie należy zaliczyć do najważniejszych spraw kultury narodowej?** A jaki jest stosunek innych uniwersytetów i w ogóle sfer profesorskich do tej sprawy? Czy może uniwersytety przyszły nam z wydatną pomocą moralną i naukową? Czy zrobiły wszystko, aby wspólnymi siłami podnieść Uniwersytet w Łodzi na najwyższy poziom naukowy i związać go jak najściślej z masami chłopskimi i robotniczymi? Czy może odbyła się jakaś międzyuniwersytecka konferencja i publiczna dyskusja w sprawie czym ma być Uniwersytet Łódzki? Który Uniwersytet zainteresował się tą sprawą i poparł nas choćby tylko moralnie? Ludzie, dla których sprawa Uniwersytetu Łódzkiego nie była sprawą przejściowego zamieszkania w Łodzi do czasu dostania katedry i mieszkania gdzie indziej, lecz sprawą wielkiej społecznej idei, czują dobrze ten czad inteligenckiego „getta" obrażonego na Uniwersytet Łódzki, na „Kuźnicę", na „Myśl Współczesną", na wszystko to co, w błogostan polskiego partykularza umysłowego wnosi niepokój naszych czasów. Skąd biorą się skargi naszych studentów na szykany profesorów innych uniwersytetów, którzy nie chcą uznawać naszych egzaminów, kolokwiów i świadectw na równi ze swoimi? Wynikają one z nieżyczliwości obrażonego getta, dla którego Uniwersytet Łódzki to nie jest sprawa narodowa, to nie jest wspólna sprawa wszystkich uniwersytetów, ale komunistyczny spisek przeciwko nauce i kulturze polskiej.

Z tej perspektywy **idea autonomii nauki polskiej w skali narodowej, a nie partykularnej, idea kongresu nauki jako ogólnonarodowego ośrodka myśli polskiej wysuwa się na czoło.**

Idea autonomii nauki w skali narodowej musiałaby jednak pozostać w sferze abstrakcji, gdyby nie szła w parze z lokalnym samorządem poszczególnych uniwersytetów. Autonomia nauki nie zrodzi się na wyższym poziomie, gdy jej nie będzie na niższym, tam, gdzie odbywa się twórcza praca naukowa i pedagogiczna. Byłoby rzeczą nielogiczną zabrać samorząd lokalny i myśleć równocześnie o samorządzie ponadlokalnym. **Autonomia nauki w skali narodowej wymaga zarówno ogólnopolskiego ośrodka koordynacji, jak i lokalnego samorządu uniwersyteckiego w zakresie możliwie najszerszym** Problem lokalnego samorządu uniwersyteckiego nie polega na ograniczeniu tego samorządu, lecz na wyprowadzeniu uniwersytetów ze stanu izolacji społecznej , w jakiej się znajdują. Stan ten, będący wynikiem historycznych tradycji uniwersyteckich, potęguje się obecnie na skutek powojennego wyczerpania i zmęczenia polskich uczonych i profesorów. Ten drugi czynnik jest w martwocie polskich uniwersytetów ważniejszy, niż t.zw. „reakcyjność" uniwersytetów. Sześć lat wojennych nie było dopływu młodych sił naukowych, a równocześnie, z punktu widzenia biologiczno - psychologicznego, dla Polski sześć lat wojny to było o wiele więcej, niż sześć lat normalnego życia.

Z tego też puntu widzenia, sprawa odmłodzenia naukowego i nauczającego personelu uniwersyteckiego staje się sprawą palącą. **Trzeba przyjąć do rad wydziałowych nowych młodych ludzi z niepełnymi kwalifikacjami naukowymi.** Postulat ten słusznie podnosi Sokorski w artykule p. t. „Reorganizacja wyższego szkolnictwa" („Kuźnica" z dnia 2.4.1947 r.). Tę konieczną akcję, pożądaną przede wszystkim z punktu widzenia społecznego jako zabieg uaktywniający społecznie rady wydziałowe, należy jednak przeprowadzić w sposób, któryby nie zagrażał naukowemu poziomowi uniwersytetów. **Dlatego też nowy element profesorski wprowadzony powinien być do rad wydziałowych w charakterze zastępców profesorów, którym należy dać czas do uzupełnienia studiów i do przeprowadzenia normalnych habilitacji. Habilitacje powinny się odbywać przy współpracy międzyuniwersyteckiej. Dla tych, jak również innych spraw, mogłoby istnieć jakieś międzyuniwersyteckie ciało.** Nie przekonuje natomiast argument, według którego samo Ministerstwo mogłoby przeprowadzić habilitację „zwłasza dla tych dziedzin nauki, które dopiero uzyskują sobie prawo obywatelstwa na Uniwersytetach". (Wł. Sokorski: Loc. cit.) Międzyuniwersytecka współpraca w zakresie habilitacji, ujęta w odpowiednie przepisy, rozwiązuje dostatecznie naukowe problemy dopływu nowych sił naukowych. Nie widzę w Ministerstwie Oświaty, ani poza uniwerstytetami naukowców takich dziedzin nauki, na których oni znaliby się lepiej, niż uniwersytety. Nie należy w tym względzie mnożyć nieporozumień.

Nie widzę innego racjonalnego rozwiązania problemu, jak tylko wpuszczenie do rad wydziałów młodych i zaawansowanych pracowników nauko-

---

[1]) Czołowi przedstawiciele naszego społeczeństwa o nowej rzeczywistości polskiej. „Dziennik Polski" Nr 3 z dnia 6.2.1945 r.

[2]) St. Żółkiewski. Ze wspomnień polskiego inteligenta „Kuźnica" 28.I.47 r.

wych pod warunkiem, że uzupełnią przygotowania naukowe. **Tandetne habilitacje polityczne odbiły się nie tylko na nauce, lecz nie wyszłyby także na dobre zainteresowanym ruchom politycznym. Nauka rozwija się przez współzawodnictwo a nie przez dyplomy naukowe, zdobywane na pozanaukowej drodze.** Obecnie kiedy palącą jest sprawa odnowienia personelu naukowego trzeba szukać takich form do szkolenia młodych ludzi które by stwarzały możliwie najpełniejsze bodźce maksymalizacji ambicji naukowych, a nie budziły niezdrowych ambicji robienia kariery naukowej na nienaukowej drodze. Dlatego **też otworzenia rad wydziałowych dla zwiększonej liczby młodych pracowników naukowych jako zastępców, nie traktuję jako zabiegu politycznego, choć i tę stronę on posiada, lecz jako nową formę szybszego wyszkolenia profesorów przez współpracę w ramach wspólnego uniwersytetu i wpólnej rady wydziału. Ta forma,** która przyśpieszy odnowienie kadr profesorskich, posiada duże walory społeczne, jakich pozbawiony był dotychczasowy system „terminowania" u poszczególnych profesorów, odbywający się w praktyce poza zainteresowaniem rad wydziałowych.

Nowi ludzie w radach wydziału, którzy, będąc młodszymi kolegami, będą równocześnie kandydatami do pełnych praw i przywilejów profesorskich, zmuszą rady wydziałowe do reorganizacji wewnętrznej struktury rad i w ogóle uniwersytetu, w kierunku form pracy zespołowej w obrębie większych kompleksów katedr powiązanych w instytuty o funkcjach badawczo-naukowych i pedagogicznych. Reorganizacja wewnętrzna uniwersytetów w tym kierunku jest wskazana z wielu zasadniczych względów.

Wszelkie reformy uniwersyteckie muszą mieć jednak na względzie zasadniczy fakt, że autonomia nauki i w ogóle kultury jest podstawowym elementem demokracji. Z punktu widzenia demokracji, **im silniejsze są tendencje do upaństwowienia innych dziedzin, tym jest bardziej konieczna pełna i wszechstronna autonomia nauki i kultury.** Nie potrafię pogodzić tendencji do absolutnego podporządkowania państwu wszystkich sfer życia ludzkiego i kultury z — ideą demokracji.

### Uniwersytety a zagadnienie opinii intelektualnej i wolności nauki

Problem uniwersytetów, to nie jest ciasny problem szkolny. W naszych czasach, kiedy rola nauki i intelektualnej kultury nabiera znaczenia decydującego dla losów cywilizowanej ludzkości, problem uniwersytetów bardziej, niż kiedykolwiek, wiąże się z zagadnieniem **opinii intelektualnej.** Demokratyzacja społeczeństwa nowoczesnego jest nie do pomyślenia bez jego intelektualizacji. Nowoczesne społeczeństwo demokratyczne musi mieć swoje autorytety intelektualne i opartą o nie intelektualną opinię. Nauka przenika obecnie wszystkie dziedziny życia indywidualnego i zbiorowego. Dotyczy to zarówno nauk przyrodniczych jak i nauk humanistycznych i społecznych. Nowoczesne społeczeństwo demokratyczne potrzebuje nie tylko zamkniętych laboratoriów badawczych, ono potrzebuje także środków krystalizowania opinii intelektualnej. Jakie mają być te ośrodki, czy mają nimi pozostać uniwersytety, czy też mają powstać nowe ośrodki krystalizowania opinii intelektualnej poza uniwersytetami?

Obecna sytuacja Polski na odcinku intelektualnym jest pod tym względem wybitnie nienormalna. Uniwersytety znajdują się pod generalnym obstrzałem zarzutów nie tylko reakcyjności społeczno-politycznej, lecz także przestarzałych koncepcji naukowych, a nawet zgoła nienaukowości. Można powiedzieć, że w **krystalizowaniu opinii intelektualnej w Polsce uniwersytety nigdy nie odgrywały tak małej roli jak obecnie, Równocześnie nie widać nowych poważnych autorytetów naukowych i nowych poważnych ośrodków krystalizacji opinii intelektualnej.**

Do rywalizacji z uniwersytetami w zakresie kształtowania opinii intelektualnej przystąpiły szkoły partyjno-polityczne. Nie ograniczają się one do propagowania idei społeczno-politycznych i kształcenia działaczy, lecz propagują określone teorie naukowe zarówno przyrodnicze, jak i humanistyczne, wyraźnie zmierzając do kształtowania całej opinii intelektualnej społeczeństwa. W szczególności szkoły te zabiegają o nadanie kierunku intelektualnego i ideologicznego nowej inteligencji emancypujących się warstw chłopskiej i robotniczej.

W Manifeście Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego, ogłoszonej przez grupę intelektualistów francuskich, najbardziej zbliżonych do marksizmu czytamy: „pragniemy, by każdy Francuz stał się intelektualistą". To samo trzeba i nam powtórzyć. Potrzebujemy tego bardziej niż Francja. Stoimy wobec konieczności demokratyzacji nauki i szkół wyższych i albo tego dokonamy, albo uniwersytety stracą wpływ na kształtowanie się intelektualnego oblicza nowej inteligencji polskiej.

W naszym życiu intelektualnym występują jednakże symptomy niepokojące. Nie idzie tutaj tylko o nieuctwo, które nie jest przywilejem żadnej partii i które napiętnować trzeba, niezależnie od tego czy występuje pod znakiem „naukowego socjalizmu", czy „ogólno ludzkich ideałów chrześcijańskich". Jest jeszcze inny symptom niepokojący. Polega on na nowym rodzaju demagogii, wyrażającej się w tym, że prasa zaczyna wytwarzać dokoła uczonych i nauki polskiej atmosferę jakiegoś faszystowskiego spisku na demokrację ludową. Cóż to znaczy, zapytujemy, jeżeli „Kuźnica", organ intelektualnej awangardy postępu, z powodu rozprawy Bronisława Malinowskiego o wojnie drukuje idiotyczną notatkę p.t. „Mein Kampf Bronisława Malinowskiego". W notatce tej anonimowy „uczony" zaczyna od tego, że, jak pisze o Malinowskim, „prócz naiwnie pojętego ewolucjonizmu nie widzę przedmiotów do dyskusji" a kończy słowami: „obawiam się, że mimo wszystko Malinowski będzie musiał wyrazić uznanie dla formacji SS". („Kuźnica 28 stycznia 1947 r.). Notatka ta jest jednym z coraz liczniejszych dokumentów megalomanii nieuctwa, tym bardziej niepokojących że wkrada się ona także, jak widzimy, do pisma awangardy intelektualnej.

Nie samo nieuctwo i megalomania są tutaj niepokojące, lecz przede wszystkim swoisty rodzaj demagogii o charakterze denuncjacji. W prasie partyjno-politycznej występuje to w formie niedwuznacznie denuncjatorskiej. Dlaczego, zapytujemy, z powodu wykładu Prof. Bystronia na Uniwersytecie Warszawskim zaczyna się prowadzić systematyczną akcję prasową piętnującą te wykłady jako agitację faszystowską („Trybuna Wolności", 1.5.1947). Ten typ denuncjacji publicznej stosowano w reżymie hitlerowskim do lewicowych uczonych. Nie należy on do zaszczytnych zdobyczy kultury europejskiej i nie wolno go nam zaszczepiać u nas.

Antropologiczna teoria społeczeństwa nie jet wynalazkiem hitlerowskim. Jest to teoria naukowa. Uprawiał ją także Ludwik Krzywicki, nie przestając być równocześnie marksistą. „Poszukiwania antropologiczne wykazały — pisał L. Krzywicki — że wszelkie solidarności społeczne, małe i wielkie, dzikie i cywilizowane, nie są jednolite rasowo, ale składają się zwykle z kilku typów rasowo - antropologicznych... Stosunek typu rasowo - antropologicznego do narodowości jest mniej więcej taki sam, jak pierwiastków chemicznych względem minerałów. Ten ostatni rozkłada się, wietrzeje i w ogóle podlega zmianom, pierwiastki chemiczne zaś, wchodzące w skład jego, nie giną, lecz trwają nadal w coraz nowych połączeniach... Typy rasowo antropologiczne oznaczają się niejednakowymi zdolnościami wymawiania pewnych dźwięków. W miarę tego, jak z pewnego narodu ubywają jedne typy, wzrastają zaś w liczbę inne, dźwiękownia języka musi ulegać pewnym przekształceniom. Niektórzy antropologowie usiłowali z takiego punktu oświetlić nie tylko rozwój języka, ale także ewolucję społeczną i polityczną narodu, traktując socjologię, jako, że się tak wyrazimy, chemię antropologiczną". (L. Krzywicki: Nauki antropologiczne. „Poradnik dla samouków, cz. I, 1901 r. str. 524). Takie stanowisko przyjmuje również Bystroń dla swojej teorii, która zresztą nie wyczerpuje całego zakresu jego socjologii a przedstawia tylko jeden z jej działów.

Jaki stosunek nauka współczesna może zająć wobec takich teorii. Krzywicki, podając lekturę dla samouctwa, zalecał książki Vachert de Lapouge: L'Aryen, son role social, 1899, i Les selections sociales, 1896 r. należące do najbardziej krańcowego typu historiozofii antropologicznej i antydemokratycznej filozofii. Lakoniczny komentarz Krzywickiego do tych dzieł polecanych samoukowi, jaki dał Krzywicki był następujący. „Oba dzieła przedstawiają, niekiedy w formie paradoksalnej, wszystkie zasadnicze twierdzenia socjo - antropologii. Pomimo nieścisłości dowodów, radzilibyśmy zapoznać się z nimi". Skąd bierze się u Krzywickiego takie polecenie studium socjo-antropologii. Czy z sympatii dla faszyzmu?

Nauka i myślenie naukowe rozwija się z konieczności poprzez sprzeczne teorie naukowe. Ktoby chciał to zjawisko usunąć z nauki, sprzeciwiałby się jej istotnemu charakterowi. Do istoty nauki należy również krytyczne podawanie wszelkich teorii naukowych i unikanie ostatecznych, bezwarunkowych, metafizycznych sformułowań. **Wartość nauki dla demokracji polega nie na dogmatycznym propagowaniu jakiejś jednej teorii naukowej, lecz na krytycznej metodzie myślenia naukowego, która usuwa bezkompromisowość dogmatycznych stanowisk religijnych i politycznych.** Zatrzymałem się dłużej nad tą sprawą, ponieważ dotyczy ona bezpośrednio praktycznego zagadnienia granic wolności nauki i nauczania uniwersyteckiego. Jakiekolwiek praktyczne decyzje podejmuje się w tej sprawie trzeba brać pod uwagę istotne cechy nauki i istotne jej wartości dla demokracji. Dyrektywą ograniczeń nie może być intencja zastąpienia naukowego myślenia przez propagandę jakiejś teorii naukowej, zastąpienia jednej propagandy przez inną.

Nie jestem zwolennikiem teorii antropologicznej, czemu wielokrotnie dawałem wyraz. Nie podzielałem i nie podzielam poglądu Prof. Bystronia co do wartości tej teorii dla socjologii. Naturalną jest jednak rzeczą, że na uniwersytecie student słyszy różne poglądy naukowe. Od tego jest uniwersytet, aby tak było. Student uniwersytetu powinien wiedzieć, że ta teoria, jak i wszelka inna teoria naukowa obowiązuje warunkowo, to znaczy w oparciu o pewne założenia i pewne warunki. Tak pojmowana, żadna teoria naukowa nie jest propagandą. Student, który ma pretensję do profesora o jednostronność jego koncepcji powinien przynajmniej zapoznać się z innymi pracami tego profesora i wyrobić sobie pogląd samodzielny na całość jego poglądów. Tym bardziej obowiązuje to poważną publicystykę. Wystarczy przeczytać Bystronia „Megalomanię narodową", aby zrozumieć nonsens zarzucania mu faszystowskich poglądów. Temu samemu Bystroniowi, któremu zarzuca się obecnie faszyzm, Zygmunt Wasilewski, czołowy publicysta endecji, zarzucał „rozbrajanie duchowe narodu" [3]), ponieważ Bystroń przeciwstawiał się zdecydowanie faszystowskim formom megalomanii grupowej i nacjonalizmu. Dlaczego poważne pisma drukują takie artykuły, które nie przyczyniają się do krystalizowania opinii intelektualnej, lecz pogłębiają chaos, mnożąc zarzuty faszystowskiej sympatii nauki polskiej.

Jest rzeczą bardzo pożądaną, aby studenci wypowiadali swoje poglądy na temat wykładów i uniwersytetu, jest rzeczą pożądaną, aby zabierali głos w sprawach publicznych. Nie tylko profesorowie wychowują młodzież, ale i młodzież wychowuje swoich profesorów. W demokratyzacji stosunków na wyższych uczelniach studenci mają do wypełnienia olbrzymią rolę. Potępiać jednak należy przeszczepianie na nasz grunt hitlerowskich form denuncjacji.

Z zainteresowaniem czytuję głosy młodzieży w sprawach uniwersyteckich w „Pokoleniu" (rok 1947, nr. 3, 4, 5). Często są słuszne, kiedy indziej zbyt jednostronne i niesprawiedliwe. Nie ma w tym nic niepokojącego, gdy, z powodu artykułu Znamierowskiego w „Myśli Współczesnej", student zastanawia się nad tym, w jakim stosunku pozostaje moralny postulat „życzliwości powszechnej" do faktycznego kształtowania się stosunków międzyludzkich. Byłaby to jednak wielka groźba dla takiego narodu, którego młodzież odrzuciłaby życzliwość powszechną jako obowiązujący postulat moralny. Od tego się zaczęła hitleryzacja młodzieży niemieckiej. Groźna jest dla nas także owa nieżyczliwość codzienna, która zatruwa życie polskie. Ten rys jest niepokojący w wypowiedziach studentów, którzy bezmyślnie i bezpodstawnie oskarżają o faszyzm swoich profesorów, pomniejszając ten kapitał, jaki młodzież i młodość w każdym pokoleniu wnoszą zawsze do życia uniwersytetu i całego narodu — nieoceniony kapitał ludzkiej życzliwości.

Sprawa „życzliwości powszechnej" bardzo ściśle wiąże się również z zagadnieniem wolności nauki. Dotyczy ona mianowicie przezwyciężania partykularnego stanowiska poznawczego i moralnego.

Występuje uderzająca niekonsekwencja w krytyce, jaką się często podnosi w stosunku do nauki i uniwersytetów. Zarzuca się im partykularyzm, wychodząc z innego stanowiska **partykularnego,** społecznego i poznawczego. Kontrowersję marksizmu i antropologizmu cechuje właśnie taki partykularyzm poznawczy i społeczno - moralny obydwu tych stanowisk. Do istoty nauki należy przezwyciężanie partykularyzmu. Nienaukowe byłoby zarówno stanowisko marksizmu, jak i antropologizmu, gdyby się je uznawało dogmatycznie za jedyne teorie społeczeństwa. Obydwie teorie, ujmując społeczeństwo w sposób naukowy, ale z różnych punktów widzenia, uzupełniają się. Dlatego tak wybitny umysł naukowy, jak Ludwik Krzywicki, mógł uprawiać nauki antropologiczne i równocześnie pozostać wiernym naukowej teorii marksizmu. Połączenie antropologizmu z marksizmem staje się niemożliwe dopiero wtedy, gdy teorie te tracą charakter naukowy, a nabierają charakteru metafizycznego i religijnego światopoglądu, ogarniającego całokształt życia i wszechświata w jedną monistyczną koncepcję.

W związku z granicami wolności nauczania na uniwersytetach, należy zawsze pamiętać o tym, że odrzucając

[3]) Z. Wasilewski. Dyskusja. Str. 186 i nast.

ALEKSANDER PUSZKIN

## Z ODY „WOLNOŚĆ"

(fragment)

**Uchodź, sprzed oczu mych się skryj**
**Gnuśnej Cytery pani piękna.**
**Gdzieś ty, przed którą władca drży,**
**Muzo wolności nieulękła.**

**Przyjdź, z czoła zerwij wieniec mój**
**I strzaskaj lirę zniewieściałą!**
**Pragnę wolności śpiewać chwałę,**
**Z królewską zbrodnią stoczyć bój.**

. . . . . .

**Wietrznego losu faworyci,**
**Tyrani świata, drżyjcie dziś!**
**A wy, odważną pieszcząc myśl,**
**Powstańcie, nędzni niewolnicy.**

**Gdzie spojrzeć, pełno strasznych spraw:**
**Kajdany wszędzie, wszędzie bicze,**
**I łzy niemocy niewolniczej,**
**I zgubna hańba carskich praw.**

**Przełożył Seweryn Pollak**

moralny postulat życzliwości powszechnej, rezygnuje się z najwyższego prawa moralnego ograniczania swobody wolności naukowej. Nie byłoby bowiem podstaw moralnych dla potępienia pracy badawczej uczonych hitlerowskich, gdyby się rezygnowało z idei ludzkości jako najwyższego postulatu moralnego. Słusznie zwracano już uwagę na to, że humanistyczna idea ludzkości jest najwyższą sankcją moralną walki marksistowskiego ruchu z hitleryzmem (P. Konrad: Marksizm bez przyłbicy, „Odrodzenie" z dnia 6 — 13 kwietnia 1947 r.). Gdy się zaś przyjmie moralny postulat ludzkości i życzliwości powszechnej, to trudno nie przyjąć, że realizacja tego postulatu jest praktycznie możliwa dlatego, że istota ludzka jest nie tylko „małpą", murzynem czy arystokratą, lecz także człowiekiem. Takie stanowisko moralne stwarza zasadnicze ramy dla praktycznej wolności nauki. Fakt, że historycznie nauka zawsze ulegała silnym wpływom różnych grup społecznych, nie przekreśla innego faktu, że zasadnicze jej tendencje rozwojowe są ogólnoludzkie. W każdym cywilizowanym społeczeństwie nauka stanowi zawsze, w mniejszym lub większym stopniu, zasadniczy czynnik przezwyciężania partykularyzmów grupowych i jednoczenia międzynarodowego w płaszczyźnie ogólnoludzkich wartości.

Obecna tendencja światowa do podporządkowania nauki sztabom generalnym i politycznym nosi w sobie znamię nie tylko szczytowej degradacji nauki, lecz i głębokiego kryzysu cywilizowanej ludzkości. Idzie to równocześnie w parze z faktem, że uczeni, reprezentujący siłę intelektualną i idee ogólnoludzkie, nie reprezentowali nigdy wielkiej siły społecznej, ani wielkiego moralnego autorytetu, zarówno w skali narodowej, jak i światowej.

W związku nauki i elity intelektualnej z ruchami ludowymi, szukamy obecnie dróg przezwyciężenia społecznej i moralnej bezsilności nauki, która zbyt często stawała się narzędziem w grze politycznej, której ofiarą padały zawsze masy ludowe. Na tej drodze jednakże byłoby rzeczą niezmiernie niebezpieczną przyjmowanie zasady, że naukę obecnie należy podporządkować takiej samej hegemonii klasy panującej i grupy rządzącej, jakiej w dawnych ustrojach podlegała arystokracji rolniczej, burżuazji, biurokracji politycznej i sztabom militarnym.

Istnieje konieczność intelektualnej opinii na najwyższym poziomie. Kto ma ją kształtować? Uniwersytecka elita, intelektualna Polski nie ma w tym kierunku tradycji. Dostojna nauka nie lubi publicznych dyskusji „ludowych", nie lubi się udzielać. Ma inklinację do ezoteryzmu. Tym czasem, jeżeli poważnie traktuje się demokratyzację kultury umysłowej, to nie kto inny, ale właśnie uniwersytety powołane są do tego, aby stać się centrami krystalizacji opinii intelektualnej. Nowoczesna demokracja może się ostać tylko przy wysokiej intelektualnej kulturze narodu. Młodzież uniwersytecka powołana jest do pionierskiej roli w tym względzie. Ale dla pionierskiego ruchu społecznego i umysłowego bezpieczniej jest zawsze być surowszym dla samego siebie, niż dla swoich przeciwników. I to zarówno pod względem moralnym, jak intelektualnym.

Takie są najbardziej ogólne granice wolności nauki i nauczania uniwersyteckiego. Wynikają one z istoty nauki i jej społeczno - moralnego znaczenia dla poszczególnych narodów i dla całej ludzkości. W tych granicach mieszczą się praktyczne problemy organizacji nauki, różne w różnych krajach. W tych granicach mieszczą się również polskie konieczności planowego i racjonalnego związania nauki z problemami odbudowy i przebudowy struktury narodu. Nie można zapominać, że najszlachetniejsze idee nie realizują się inaczej, jak tylko w oparciu o grupy silne, zorganizowane, zdyscyplinowane i świadome swoich zadań i ideałów. I tylko takie narody liczą się w tym świecie, w którym poprzez mobilizację wszystkich zasobów materialnych i intelektualnych toczy się walka o duchowe oblicze ludzkości.

**Józef Chałasiński**

KAZIMIERZ BRANDYS

# SAM

PRZED BRAMĄ uniwersytetu stali dwaj woźni w płaszczach ze srebrnymi guzikami. Jeden był stary, miał order na piersi, drugi, młodszy obejrzał legitymację Jakuba i powiedział: — Niech pan idzie, jak pan chce. — Jakub wszedł, a starszy woźny z orderem odwrócił się za nim mówiąc: — Tam jest wiec. Lepiej wrócić. — Jakub przystanął i rzekł wysokim głosem: — Wszystko jedno. Ja idę odebrać papiery i wyjeżdżam stąd. — Woźni spojrzeli na siebie, a młodszy wzruszył ramionami i powtórzył: — Niech idzie jak chce.

Na dziedzińcu było pusto, nagie czarne drzewa nieruchomo witały Jakuba, jego krok dźwięczał głośno po kamieniach. Przed gmachem biblioteki stało na schodkach kilku studentów, jeden z nich krzyknął z daleka do Jakuba: — Na wiec? Na wiec? — Jakub powiedział: — Nie — potem przeszedł powoli ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wtedy student wysunął głowę, przyjrzał się Jakubowi mrużąc oczy i mruknął: — Psiakrew. — Inni zaczęli się śmiać, a po chwili student zawołał znów do kogoś, kto nadchodził za Jakubem: — Na wiec? Na wiec?

Tymczasem Jakub minął bibliotekę. Sekretariat znajdował się w głównym gmachu na pierwszym piętrze. Wprost wejścia rozebrano kawał bruku, w żółtym piasku leżały wykopane kamienie i oskard. Jakub zatrzymał się na chwilę, potem szybko okrążył to miejsce. Wszedł do gmachu i skręcił z przedsionka w stronę schodów. W sekretariacie nie było nikogo. Jakub zbliżył się do okienka i zdjął czapkę. Urzędniczka spojrzała na niego wypukłymi oczami, potem zapytała jedząc bułkę: — Czego pan sobie życzy? — Jakub odpowiedział trochę zbyt głośno: Chcę odebrać papiery i wyjechać. — Przestała jeść i znowu przypatrywała się Jakubowi. Szepnęła: — Czy na zawsze? — Na zawsze — odparł Jakub. — O — pokiwała głową — to szkoda. Pewnie pan jest zmartwiony. Proszę o legitymację. — Tak — zgodził się Jakub i podał jej legitymację. — Pan Jakub Gold — przeczytała, znów zerkając na niego wypukłymi oczami — wydział medyczny. Niech pan usiądzie i poczeka.

Jakub usiadł na krzesełku, trzymając czapkę w rękach. Z za przepierzenia dolatywał szelest papierów i stukanie maszyny. Jakub czekał cierpliwie, gapiąc się po ścianach. Z jednej patrzyli na niego Marszałek i Prezydent, na drugiej wisiały żółte i zielone obwieszczenia rektora. Jakub obejrzał się za siebie i spostrzegł, że na trzeciej, ponad jego głową, wisi krzyż. Po chwili ktoś otworzył drzwi, pokazała się twarz woźnego z orderem; poznał Jakuba i rzekł: — A, to pan? Lepiej wrócić. — Maszyna ucichła na moment, woźny zamknął drzwi i zniknął. Wtedy Jakub podniósł głowę. Słuchał chwilę, poruszając niespokojnie uszami. Z dziedzińca dobiegł nagły gwar. Jednocześnie za drzwiami rozległ się czyjś głos, który mówił: — Zamknij pan drzwi na dole, pokrzyczą sobie, a my zagramy przez ten czas partyjkę. — Pan Gold? — powiedziała urzędniczka, wychylając głowę z okienka. — Proszę, papiery już są. — Jakub drgnął i wstał z krzesła, a potem rzekł: — Dziękuję. — Nie ma za co — uśmiechnęła się do niego. — Ale może pan jeszcze do nas wróci? Czasem się tak zdarza. — Ach — powiedział Jakub składając papiery — zdaje mi się, że nie. — W życiu — rzekła poważnie — nigdy nic nie wiadomo. — Potem znowu zaczęła jeść bułkę.

Kiedy zły los jest już o krok, wówczas człowiek nie raz sam czyni ów krok, śpiesząc się jak spóźniony podróżny. Starzy ludzie zapewniali mnie o tym i mówili: — Nie trzeba się śpieszyć.

Jakub szybko zbiegł ze schodów ku wyjściu na dziedziniec, skąd dolatywał śmiech, krzyk i wrzawa. Jego ruchy stały się pospieszne, schodząc szeptał do siebie, nad górną wargą wystąpiły mu kropelki potu. Przy drzwiach mały, stary woźny powiedział do niego: — Niech pan poczeka, nie trzeba się spieszyć. Pokrzyczą i pójdą. Niedobrze, kiedy człowiek się boi. — Na jego piersi błyszczał order, w ręku trzymał zatłuszczone karty. Ale Jakub nie słuchał. Kręcił głową i mruczał: — Niech mi pan otworzy, oni mnie otoczą, ja muszę stąd iść. — Nie patrzał mu w twarz, lecz trochę w bok, ponad ramię, tak że woźny obejrzał się za siebie niespokojnie, nic jednak tam nie było. — Muszę stąd uciec — powtórzył Jakub i wyciągnął przed siebie ręce. Więc woźny sam przeląkł się trochę i wreszcie otworzył drzwi.

Jakub powoli przekroczył próg. Na dziedzińcu słońce rzucało zimny blask. Zmrużył oczy i zachwiał się nieco, bo krzyk, który tu zewsząd huczał, uderzył go w pierś jak wiatr. Pod konarami czarnych drzew, wzdłuż szarych ścian, gdzie błyszczały szyby, rozlał się kolorowy tłum. Wśród stłoczonych ramion, karków i czapek nie było już przejścia. Jakub cofnął się o krok i rozpłaszczył dłonie na twardych okutych drzwiach. U jego stóp leżały kamienie, żółty piasek, porzucony oskard; jeszcze pięć, jeszcze dziesięć kroków stali oni, widać było ich plecy, szyje, podniesione ręce. Dalej, po środku, nad głowami chwiał się drewniany zębaty miecz i trzy tekturowe kukły: osioł z twarzą rektora, a obok z twarzami dziekanów małpa i wieprz. Osioł miał okulary, wieprz bródkę blond, małpa czarne wąsy. Podrygiwały wysoko, w rytm krzyku, który rósł. Czasem stawało się ciszej, wtedy z chłodnego powietrza wydobywał się, jak z głębiny, jeden głos, ostry i jasny. Potem znów buchał krzyk, więc miecz wyskakiwał ponad pstre czapki, a kukły huśtały się w szybkich podrzutach wśród wyciągniętych rąk. Gdyby na chwilę odwrócił się któryś z nich i spojrzał za siebie, wówczas zobaczyłby Jakuba, który stał sam, mały i czarny na tle wielkich dębowych drzwi, z twarzą zszarzałą w chłodnym blasku słońca, z kruczym kosmykiem opadłym spod daszka na brwi. — Nie można się bać — myślał, a zęby mu szczękały od nagłego chłodu — nie można się bać. — Jego oczy biegały po tłumie, szukając ucieczki. Ale nie mogły jej znaleźć. Tak stali chwilę niedaleko siebie, przedzieleni płatem porwanego bruku. Wokół nich wznosiły się kamienne gmachy i wysokie drzewa, nad ich głowami drżało blade niebo. Tak stali blisko siebie we wrzawie, śmiechu i słońcu — żydowski chłopiec, Jakub Gold, i tamci, krzyczący, stłoczeni w gromadzie. Wreszcie jeden z nich spostrzegł go i zawołał głośno: — Patrzcie!

Jakub zamknął oczy. Oparł się o drzwi. Zdążył zobaczyć jeszcze czarne wygięcie gałęzi na szybie złotej od słońca. Szepnął: — Więc to już — i westchnął głęboko. Od drzew niósł się zimny, czysty powiew. Szło ku niemu dwóch, w czapeczkach zsuniętych z czoła. — Co tu robisz? — usłyszał Jakub i poczuł na twarzy obcy oddech. Milczał i skłonił głowę na ramię, widząc tylko ich stopy, piasek, kamienie i błyszczący oskard. — To żydowski szpieg — powiedział drugi i strącił Jakubowi czapkę. Jakub zasłonił ręką głowę i rzekł: — Ja nie jestem już studentem, chcę tylko stąd wyjść. — Od tłumu oderwało się jeszcze kilku i zbliżyło się ku nim. — To Żyd, szpiegował tutaj — usłyszał znowu Jakub; zachwiał się, bo uderzono go na odlew w twarz. Było cicho, tylko z tłumu dobiegał wysoki głos mówcy i świergot ptactwa z drzew. — Wypuśćcie mnie — jęknął Jakub. Spojrzał na nich, szeroko otwierając oczy. Zobaczył ich twarze. Były różowe z chłodu; dyszeli mocno, z nozdrzy i ust parował biały oddech. Jeden porwał Jakuba za pierś i szarpnął go w stronę tłumu. — Nie! — krzyknął Jakub; wyciągnął ręce, ale się nie bronił, kiedy zepchnęli go ze schodów. Jego oczy, szeroko rozwarte, widziały wszystko: wierzchołek drzewa z czarnym gniazdem, złoty sznurek nad daszkiem czapeczki, białe zęby odsłonięte w śmiechu, ołowianą kulkę na drucie w czyjejś dłoni, tłum, którego się bał. Usłyszał nowy głos i poczuł nowe uderzenie, więc zachwiał się, a potem upadł na kolana w piasku, zakrywając głowę oburącz. Było ich teraz wielu wokół niego, słyszał szyderstwa z wielu ust, jeden kopnął go w bok. Jakub stęknął i ręce osunął na twarde kamienie. Z nosa ciekła mu krew. Spodnie miał rozdarte ostrzem oskardu, widać tam było bieliznę i ciało. Uchylał głowę od razów, na czworakach znowu podobny do czarnego psa, którego karcą. Na chwilę przestali go bić i umilkli. Jeden z nich zapytał: — Co z nim zrobimy? — Wtedy rozległ się okrzyk z tłumu: — Żydowską kukłę pod miecz! — Zahuczał śmiech i znów schwycili go za kołnierz. Ale Jakub krzyknął nagle wysokim przeciągłym głosem i dźwignął się na kolana. Zobaczyli jego oczy nabiegłe krwią i wielki kamień w dłoni, który uniósł wysoko nad głową. Cofnęli się o krok, podnosząc laski. Lecz jeden, w czapeczce na bakier, który go przedtem bił, rzucił się naprzód; ołowiana kulka zafurczała na drucie w jego dłoni. Jakub otworzył usta i powtórzył swój wysoki krzyk. Potem zasłonił oczy lewą ręką, a prawą na oślep wyrzucił kamień z nad głowy. W krótkiej ciszy zatrzepotały czyjeś ramiona, jak skrzydła ptaka; kamień zadzwonił o bruk. Biała czapeczka upadła niedaleko głowy; połączył ją z nią cienki sznureczek krwi. Obok spoczął kamień Jakuba. Koledzy pochylili się nad leżącym, któryś powiedział: — Nie żyje. — Potem spojrzeli na Jakuba w milczeniu i znów inny student mruknął: — Zabił go, psiakrew. — Jakub wyczołgał się z piasku, pełznąc w tę stronę, gdzie leżała czapka, ciało i kamień. Klęcząc, wysunął głowę naprzód i przyjrzał się twarzy tamtego, marszcząc brwi. Zabity leżał w skos na bruku, z ramieniem wyrzuconym w bok. Włosy miał zlepione krwią, Jakub spotkał jego szklane źrenice i dotknął jego ręki. Gdy ze wszystkich stron nadbiegał tłum, oni długo patrzeli na siebie, nie odwracając oczu: zabójca, Jakub Gold, i jego ofiara, blady chłopiec leżący na bruku. — Nie chciałem — szepnął Jakub szukając w tłumie oczu, któreby mogły zrozumieć jego słowa — nie chciałem go zabić.

III.

Proces Jakuba Golda rozpoczął się w lipcu i trwał trzy godziny. Po zabójstwie stłumiono rozruchy studentów spragnionych odwetu. Mogły one wybuchnąć powtórnie z okazji procesu, rozprawę wyznaczono więc na czas akademickich ferii i ograniczono jej rozgłos, aby uniknąć zaburzeń, które władzom nie były w tym czasie na rękę.

Zbrodnia Jakuba była wielka, wina niewątpliwa. Na stole przed sędziami leżał brukowy kamień z ostrym brzegiem i oskard. Kiedy stary woźny z orderem składał swe zeznania, adwokat poprosił go, aby się zastanowił: gdyby chciał kogoś zabić i miał do wyboru oskard albo kamień, co by wówczas wybrał. Na to świadek zamyślił się i odparł, że nigdy nie chciał nikogo zabijać, więc trudno mu odpowiedzieć na pytanie obrońcy. — Nie daj Boże mieć taki wybór, panie mecenasie — rzekł i przeżegnał się.

W małej sali rozpraw brzęczały muchy na gorących szybach. Czuć było ludzkim potem, a protokulant siedzący z boku miał czerwone plamy pod oczami na skutek upału. Kiedy policjanci wprowadzili Jakuba, z ostatnich rzędów rozległ się głos: — Odwagi, Gold! — Na moment ukazała się biała twarz Artura Joasa i jego chude palce. Lecz Jakub się nie zatrzymał. Stawiał drobne posłuszne kroki i patrzał pilnie w plecy policjanta, który szedł przodem. Potem usiadł na ławie oskarżonych; policjant zdjął mu kajdanki ze skutych rąk. Publiczność niezbyt wyraźnie widziała jego twarz. Głowa mu jakby urosła, trzymał ją pochyloną, dłonie miał ukryte.

Adwokat pragnął dowieść, że Jakub działał w obronie koniecznej. Ale świadkowie zeznawali niejasno. Urzędniczka sekretariatu opowiadała płacząc: — Kiedy przyszedł ten pan po papiery, wiedziałam od razu, że stanie się coś złego. — Wtedy prokurator zapytał, co w zachowaniu Jakuba nasunęło jej przeczucie zbrodni; ale ona wzdychała tylko: — Nie wiem, nic nie wiem. — Słabym punktem obrony był fakt, że Jakub sam wydzierał się na dziedziniec. — Aby rozbić wiec — twierdził prokurator. Woźny był jednak innego zdania. — Byłem na wojnie — mówił powoli — na japońskiej i na wielkiej, widziałem niejedno, można powiedzieć, że znam życie. Już przy wejściu powiedziałem mu: „Lepiej wrócić". Może innemu bym nie powiedział, ale on, proszę sądu, miał takie oczy jak rekrut przed pierwszym atakiem na bagnety. Tacy często nie wracają, bo strach ich pcha tam, gdzie nie trzeba. To już nie był człowiek, to był, proszę sądu, sam oddech. Tacy nie wracają, bo ręka im sama skacze po własną śmierć. — Prokurator, młody człowiek w binoklach, zwątpił czy Ja-

# SĄD

kub istotnie miał tak wielkie powody do strachu. Powiedział: — Przecież na uniwersytecie dotąd nikogo nie zabili, skąd więc ten strach, może nam świadek zechce to wyjaśnić? — Wyjaśnię — zgodził się woźny i podniósł uroczyście żółty krzywy palec. — Wyjaśnię. Pan prokurator jest młody, to nie wie: człowiek zawsze się boi, kiedy jest sam. Ich było wielu, a on był sam. Kiedy człowiek jest sam, trzeba mu pomóc. Oni chcieli mu pomóc, jak zającowi w nagonce. Dlatego się bał. Ja to wiem, chociaż jestem tylko woźny, ale znam życie. Nie można człowieka straszyć jak zająca i wyganiać z niego dech. — Mówił to w wielkiej ciszy, w której było słychać tylko daleki klakson za oknem.

Adwokat miał niełatwe zadanie, bo fakty obciążały Jakuba. Nic ich nie mogło odwrócić. Chudy student z przedziałkiem, kolega zabitego, zeznał, że na dziedzińcu życie Jakuba nie było zagrożone. Jeden z dziennikarzy obecnych na sali zanotował przy jego nazwisku: „Przyjaciel ofiary". Świadek ten wydawał się małomówny i odpowiadał „tak" albo „nie", często również mówił: „Nie pamiętam". Słowa wylatywały z niego cicho, jakby bez pomocy warg. — Oskarżony nie był bardzo pobity — powiedział — tylko z nosa leciała mu krew. Upadł na kolana, bo potknął się o oskard. Nasza organizacja używa metod legalnych.

Jakub siedział nieruchomo, twarz miał zczerniałą, jak z dymu, wargi były w niej bardzo duże; kudłata głowa wyrastała mu wprost z ramion, ubranie na nim wisiało; schudł jeszcze. Dziennikarz zapisał w notesie: „Zabójca zachowuje się spokojnie". Przed ławą Jakuba, trochę niżej, siedział jego adwokat, z siwą obfitą czupryną, którą często potrząsał. Ale i on niewiele mógł zrobić. Jakub zabił człowieka i sam pozostał żywy. Kiedy go sędzia zapytał, co ma na usprawiedliwienie swego czynu, rzekł tylko: — Nie chciałem zabić. — Publiczność składała się przeważnie z żydowskich studentów, którzy szeptali nachylając ku sobie czarne głowy. Sędzia napominał ich kilkakrotnie, ale to nie pomagało. Byli nerwowi. Wina Jakuba rosła w miarę zeznań, jak czarna chmura nad jego głową. Napróżno adwokat trzepotał rękawami togi. Szyję i kark oblewał mu coraz mocniejszy szkarłat. Żaden ze świadków nie umiał wytłumaczyć, dlaczego Jakub nie chciał pozostać w ukryciu, aż skończy się wiec. Urzędniczka mrugała wypukłymi oczami, patrząc bezradnie na adwokata, sędziów i prokuratora. — Nie stało by mu się nic złego — wzdychała — przesiedziałby u mnie do końca. — Wprawdzie woźny usiłował tłumaczyć, że strach pcha człowieka w przeciwną stronę niż rozum, ale nikt tego nie traktował poważnie. Sędzia nie słuchał nawet i oglądał kamień wodząc palcem po jego ostrym brzegu. Nikt nie potrafił pomóc Jakubowi. Nie było jego matki. Adwokat zapytał w pewnej chwili, dlaczego jej nie ma, dlaczego matka nie przybyła tego dnia, aby słuchać jak sądzą jej syna. Wtedy Jakub odrzekł: — Jest chora na serce i leży w szpitalu. — Zapadło milczenie, adwokat stał z ręką nad pulpitem, patrząc w twarz przewodniczącego. W ten sposób usiłował bronić Jakuba, pobudzić dla niego litość, ale zabójstwo pozostawało zabójstwem. Jakub sam nie umiał się bronić. Odpowiadał na pytania powoli, trochę ochrypłym głosem. Na początku przewodu milczał długo po którymś pytaniu sędziego. Sędzia czekał chwilę, a potem zabębnił palcami po stole i powtórzył: — Pytam o narodowość oskarżonego. — Jakub wciąż milczał, wszystkie oczy spoczęły na jego ustach. Upał się wzmagał, muchy brzęczały na szybie. — Polska... — szepnął wreszcie tak cicho, że woźny podniósł się w ławce i przyłożył do ucha rękę zwiniętą w trąbkę

Było za późno, aby ratować Jakuba. Przewód potwierdził jego winę, kamień, którym zabił, leżał na stole obok oskardu. Daremnie Artur Joas powtarzał w czasie zeznania: — Gold nie jest mordercą — na próżno kręcił swoją chudą czaszką i wskazywał palcem ostry brzeg kamienia, szepcąc: — To jest ten całe nieszczęście... Nie mógł potem powiedzieć nic więcej, jakby nagle zapomniał polskiego języka. Stał przed sędziowskim stołem, mały, garbaty, i trząsł się. Kiedy sędzia kazał mu usiąść, Joas otworzył usta i wspiął się na palce. Pewnie chciał jeszcze mówić, ale woźny sądowy z ryngrafem na piersi przegnał go ręką jak kurę. Tyle pomogło zeznanie Artura Joasa. Dziennikarz zapisał w notesie: „Artur Joas, przyjaciel zabójcy".

Prokurator panował nad rozprawą, niezmiennie wskazując na fakty. Fakty były niewątpliwe i zgodne we wszystkich zeznaniach. Adwokat usiłował wznieść przewód ponad nie, zapewne w sferę psychologii. Ale prokurator jednym pytaniem ściągał je z tej sfery na dół, do faktów, na dziedziniec uniwersytecki, gdzie kamień rzucony przez Jakuba trafił w skroń studenta.

W sali stało się duszno. Twarz adwokata ogarniał ciemny pąs, aż po białą czuprynę, którą potrząsał coraz częściej. Zrywał się ze swego miejsca i wibrującym głosem pytał Jakuba o jego miłość do matki, o ich ubóstwo, o ojca, który nie żył, o to wreszcie, czy Jakub czuje się Polakiem. Wówczas prokurator wzruszał ramionami, czekając na swą okazję. Gdy przychodziła, wykorzystywał ją łatwo, jednym prostym pytaniem. Wtedy z kilku ludzi, jakimi mógł być Jakub Gold, zostawał tylko jeden: ten, co mimo ostrzeżeń wdarł się na dziedziniec, aby przeszkodzić w wiecu, i zabił kamieniem kolegę, celując w skroń. — Oskarżony czuje się Polakiem — ironizował prokurator, — ale sam zeznał na śledztwie, że jako uczeń zbeszcześcił grób Nieznanego Żołnierza w swym rodzinnym mieście! Niechże oskarżony nam powie: czy to prawda? — Prawda — odparł Jakub wśród ogólnego poruszenia. Prokurator rozłożył otwarte dłonie, jakby chciał pokazać publiczności, że robota jest czysta.

Proces Jakuba dobiegał końca. Podczas zeznań ostatniego świadka wybuchła kłótnie między adwokatem a prokuratorem. Kiedy kolega zabitego powiedział: — Nasza organizacja używa metod legalnych —, adwokat wstał i zatrzepotał rękawem, — Organizacja rozboju i gwałtu, szczucia człowieka, szerzenia nienawiści... — mówił zduszonym głosem — organizacja godząca w naród polski i religię chrześcijańską, upadlająca wszystkie narody i religie świata... — Umilkł chwytając oddech: sędzia zwrócił mu uwagę, że to nie należy do sprawy, a prokurator wycedził, poprawiając binokle: — I któż to mówi? Homo novus, człowiek narodowości międzynarodowej, wyznania bezwyznaniowego...

Przewód sądowy nie zmienił faktów. Oskarżenie i obrona wydały się zbędne w tej sprawie, której stan faktyczny był tak przejrzysty i prosty. Jakub Gold uczynił wielki krok i znalazł się w świecie zbrodni. W tym świecie tylko twarz zbrodniarza jest nieodgadniona; jego przeszłość, czyny i słowa stają się traktem publicznym, dostępnym dla każdego, kto chce obejrzeć miejsce, gdzie wylano krew. Jakub siedział na ławie skurczony, zmalały, i słuchał opowieści o swym życiu, które nieuchronnie prowadziło go do zbrodni, na dziedziniec z wydartym płatem bruku, pod kasztany wstrząsane chłodnym wiatrem. W ustach prokuratora życie Jakuba osiągnęło konstrukcję logiczną jakiej Jakub sam, bez jego pomocy, nigdy nie potrafiłby dostrzec. — Wszystko obciąża tego człowieka, — mówił spokojnie oskarżyciel, unikając gestów — przeszłość i teraźniejszość splatają się w tej egzystencji w mroczny obraz zła. Pierwszym jego dziełem było splugawienie najszczytniejszego symbolu ludzkości; dokonał tego jeszcze w latach szkolnych. Drugim — miało stać się rozlanie młodej krwi, zdrowej krwi, zasilającej naród, który nie jest jego narodem; sprawił to na dziedzińcu Almae Matris celnym rzutem kamienia w skroń. Czy jest tu miejsce na litość? Niechaj będzie tylko na sprawiedliwość, niech wyrok dobrze zmierzy wartość przelanej krwi! — Tak prokurator zakończył swoje przemówienie, poczym usiadł

Adwokat mówił mniej spokojnie; męczył siebie i innych dygresjami na tematy społeczne i psychologiczne. Tędy szukał wyjścia poza stan faktyczny; rzecz prosta, bez powodzenia. Wołał: — Ten chłopiec jest niewinny, mimo że zabił człowieka! Nikt mu nie chciał sprzyjać był sam, opuścił go naród, który kochał, niczyja ręka nie miała dlań pieszczoty, prócz ręki matki.—Ponieważ zbliżało się południe i w sali gęstniał zaduch, publiczność słuchała niezbyt pilnie przemówienia obrońcy. Wśród półgłośnego gwaru kończył je szerokim gestem ręki zwróconym do Jakuba: — Jakubie Goldzie! — krzyknął w niespodzianej ciszy — wstań ze swej ławy i wstrząśnij jak Samson ścianami tej sali, bo wszyscy jesteśmy winni twojej zbrodni!

Po tych słowach Jakub podniósł głowę; obecni zobaczyli jego oczy. Był w nich zmęczony wysiłek, jak u konia, który nie może wstać z bruku.

Sąd uznał winę Jakuba i skazał go na dziesięć lat więzienia. Po ogłoszeniu wyroku publiczność zaczęła opuszczać salę. Na wokandzie w kolei był zapowiedziany proces o zgwałcenie. Pod Ścianą zwiędła kobieta rozmawiała z aplikantem, ocierając oczy chustką. Urzędniczka sekretariatu niepokoiła się, dlaczego ona płacze. Wtedy woźny z orderem, który wychodził z nią razem, rzekł poważnie: — Pani też byś płakała gdyby pani małżonek wszedł gwałtem w cudzą płeć. Życie.

Ostatni wyszli dziennikarze. Najstarszy, który notował ciekawsze momenty, zapalił papierosa i powiedział do kolegów, że według niego sprawa była prosta: morderstwo na tle nienawiści religijnej. — Wystarczy spojrzeć w twarz: żydowski fanatyk. Potem ziewnął i dodał: — Jutro będzie ciekawszy kawałek. Wiecie panowie, kogo sądzą? Młodego Pankrata. Pamiętacie Pankrata od spraw szczególnej wagi? Kiedyś potknął się na aferze jakiegoś Szarleja, panama z lokomotywami czy coś, i teraz jest sędzią śledczym na prowincji. Ten, co go jutro będą sądzić, to jego syn. Duża działalność wywrotowa, warto przyjść.

Kiedy Artur Joas wychodził z sali, zrobiło mu się trochę słabo, więc oparł się o ścianę. Nie miał sił iść dalej i zamknął oczy. Wtedy usłyszał czyjś głos, który mówił blisko: — Jest Szarlej z prawa. Siedział przez cały czas w ostatnim rzędzie. — To nasz?— zapytał ktoś inny. — Nie — odpowiedział pierwszy głos.

Joas otworzył oczy. Przed nim stali odwróceni plecami dwaj studenci; jeden z nich był kolegą zabitego i niedawno składał zeznanie. Ten wskazywał oczami młodego człowieka w szarym ubraniu, który wyszedł z sali rozpraw i skierował się wolno w stronę schodów.

Joas patrzył na niego, z trudem przełykając ślinę. Oderwał się od ściany; zaczął iść za nim krok w krok. Miał przed oczami jego szczupłe barki i głowę, wąską i jasną. — Tolo Szarlej... — szepnął do siebie, drepcząc za nim do wyjścia. Na dziedzińcu Tolo przyspieszył kroku, więc Joas zaczął biec. Dopadł go przy bramie i powiedział: — Przepraszam... — Po tym stał, ciężko oddychając. Spotkał oczy Tola, które patrzyły na niego ze zdziwieniem.

— Przepraszam — powtórzył Joas — pan jest przyjacielem Jakuba, pan się nazywa Tolo Szarlej... — Tak — odparł Tolo i podał mu rękę. Joas nie puścił jej. Drżał na całym ciele i przycisnął oburącz dłoń Tola do swej wypukłej piersi. — Niech go pan ratuje — szeptał, zadzierając głowę do jego oczu — niech mu pan pomoże. Pan rozumie? Dziesięć lat, co z niego zostanie po dziesięciu latach?

— Niech się pan uspokoi — powiedział Tolo łagodnie i uwolnił rękę z jego uścisku. — Przecież ja nic nie mogę tu pomóc. To był sąd. On jest winien. Czy gdyby pan był sędzią, nie skazałby go pan? Zabił człowieka...

Joas znów zamknął oczy. — To jego zabili — powiedział cicho — jego, Jakuba. — Nie mógł powiedzieć nic więcej; po chudej, białej twarzy spływały mu łzy.

— Trudno mi o tym myśleć — szepnął Tolo. — Niech pan mnie źle nie sądzi, ale ja tu nic nie mogę pomóc. Widział pan jego oczy? Usiadłem tak, żeby nie mógł mnie zobaczyć. Ale to już nie jest dawny Jakubek Gold. — Zabili go — powtórzył Joas i podniósł głowę. — Może nas wszystkich kiedyś zabiją...

— Spotkałem go na krótko przed wypadkiem — mówił Tolo w zamyśleniu. — Ale nie wspominał mi o przyjaźni z panem...— Ja też długo nie wiedziałem, że pan jest jego przyjacielem, — rzekł Joas. — Może Jakub nie lubił mówić o swoich przyjaciołach. — Może — zgodził się Tolo i spojrzał na Joasa: — W którą stronę pan idzie? W tym upale nie można stać. — A pan? — zapytał Joas. — Ja tam — Tolo wskazał ręką Krakowskie Przedmieście. — Ja w przeciwną stronę — rzekł cicho Joas, patrząc w chodnik. I pożegnali się.

Kazimierz Brandys

(dokończenie nastąpi)

## PISARZE CZESCY W POLSCE

Maria Pujmanova

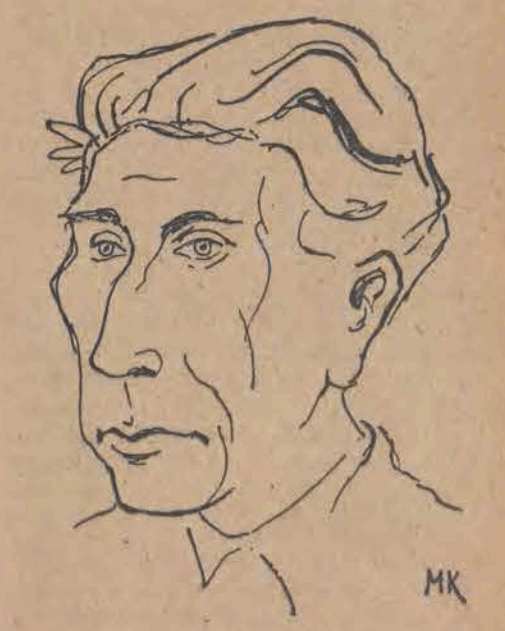

Paweł Bunczak

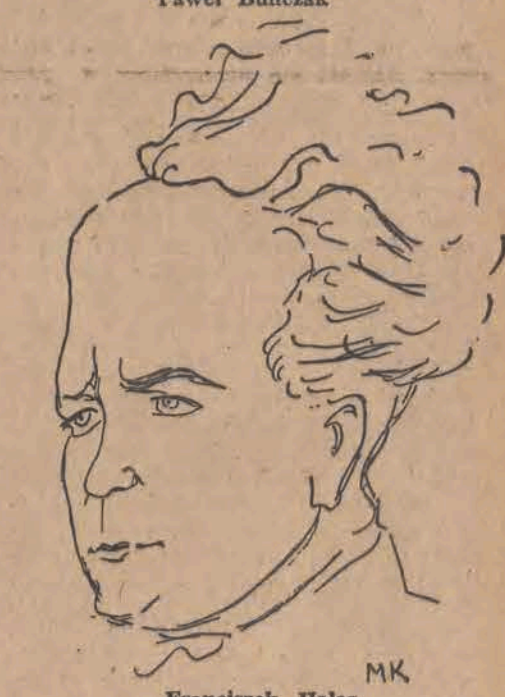

Franciszek Halas

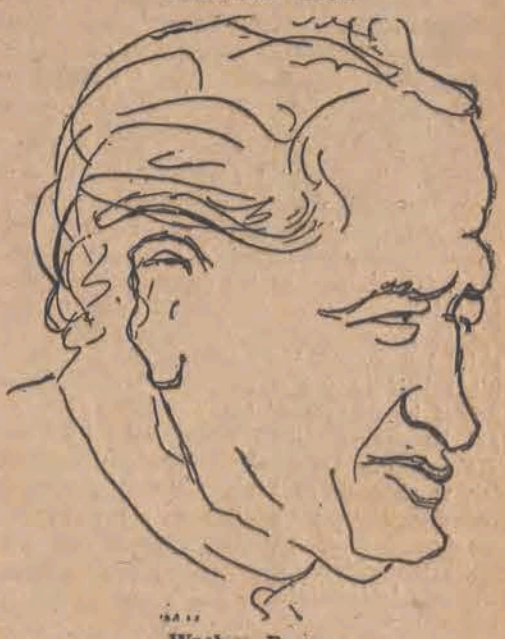

Wacław Rzezacz

**W dniach 25—26 maja b. r. przebywali w Łodzi jako goście Oddziału Łódzkiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki pisarze czescy i słowaccy: Maria Pujmanova, Rudo Brtan, Paweł Bunczak, Franciszek Halas, A. C. Nor i Wacław Rzezacz. Zamieszczone rysunki zostały wykonane przez art. mal. Marka Konon wicza w chwili zwiedzania przez gości wystawy norwidowskiej.**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

# NAD KSIĄŻKĄ ANTYNATURALISTY (I)

### I. Problematyka metodologiczna

Zainteresowania metodologiczne są u nas mało spopularyzowane. Trudno oczekiwać, aby nowatorstwo metodologiczne, jeśli nie jest wyłożone z programową, pedantyczną ostentacją, było w pełni docenione, a nawet wprost zauważone. Dwulecie niepodległości przyniosło kilka prac zdecydowanie interesujących pod tym względem i godnych szczególnej uwagi. Wystarczy, gdy przypomnę tu Jana Kotta „Mitologię i realizm", Marii Dłuskiej rozprawę o prozodii polskiej, Niny Assorodobraj „Początki kla-sy robotniczej w Polsce" i szereg rozpraw z książki „Stylistyka teoretyczna w Polsce" zredagowanej przez K. Budzyka. Niektóre z tych książek miały dość szeroki oddźwięk, ukazało się nieraz po parę recenzyj na temat każdej z nich. Te krytyki dotyczyły jednak raczej strony dokumentarnej, ograniczały się do skontrolowania materiału faktycznego lub aksjologicznych dyskusyj na temat różnic, które dzieliły autorów i recenzentów w ocenach poszczególnych faktów kulturalnych.

Brak zainteresowania i zrozumienia dla metodologicznego nowatorstwa wymienionych prac jest faktem. Tymczasem przynoszą one, w odróżnieniu od wielu innych ostatnio publikowanych tradycyjnych rozpraw naukowych, nie tylko nowy materiał faktyczny, nie tylko nowe interpretacje i oceny zjawisk społecznych, literackich czy językowych, ale przede wszystkim nowe ujęcia metodologiczne. I to bodaj jest ich największą wartością. Ta szczególna funkcja nowatorska, której, przyznajmy, bardzo brak naszej humanistyce.

Od lat bowiem 50 nowatorstwo metodologiczne w humanistyce ani jest u nas szeroko popularyzowane, ani nie stanowi nawyku naszych aż zbyt tradycjonalistycznych badaczy kultury. Jeszcze w dobie pozytywizmu było inaczej. Tłumaczono wówczas na polski wiele dzieł Spencera, Taine'a, Comte'a. Popularyzatorzy ich nowatorstwa metodologicznego, jak np. Krupiński, Chmielowski, znajdowali posłuch z racji swej odwagi intelektualnej i postępowości naukowej i społecznej. Kraj ruszył wówczas naprzód, mieszczaństwo, które w nim przodowało — ceniło i słuchało uczonych, widząc w nich słusznie sojuszników, którzy umieli nadążyć, a nawet torować drogę postępowi społecznemu swojej doby. W latach 1900, gdy następuje reakcja antypozytywistyczna, to szerokie zainteresowanie metodologią nauk humanistycznych kończy się w Polsce. Nie znaczy to bynajmniej, iż wszyscy uczeni nasi zatrzymują się na pozycjach pozytywizmu. Przodujące indywidualności korzystają wiele i twórczo z wyników krytyki pozytywistycznej wiedzy o kulturze. Lecz nie przenika ona dostatecznie szeroko. Nie przeciwdziała utrwaleniu się pewnych martwych, akademickich, skostniałych tradycji pracy naukowej, które zaczynają stopniowo przeważać. Ich metodologiczne zacofanie staje się seminaryjnym kanonem, jako wyraz rzekomego dojrzałego, wypróbowanego doświadczenia naukowego. Drogi życia i nauki rozchodzą się wówczas. Ten zacofany typ pracy naukowej, dominując, jak powiedziałem, w seminariach, staje się chlebem powszednim wszystkich popularyzatorów wiedzy o kulturze, którzy jej wyniki i schematy myślowe przenoszą do praktyki życiowej, tam, gdzie korzystając z sugestyj teorii rozstrzyga się konkretne, życiowe ludzkie sprawy. Na takiej tradycjonalistycznej, niekrytycznej, wrogiej nowatorstwu praktyce badawczej chowali się od 25 lat przede wszystkim nauczyciele historii, literatury, języka — a za ich pośrednictwem cały inteligentny ogół. Zmienił się u nas rytm rozwoju wewnętrznego mieszczańskiej humanistyki. W tym bowiem okresie nie mieliśmy już tłumaczeń koryfeuszów nowej idealistycznej teorii kultury, a więc ani Husserla, ani Rickerta, ani Dilthey'a, Webera czy Durkheima. Popularyzowano ich w skromnych i nie wiele mówiących referatach. Inne wyjątkowe — programowo nowatorskie metodologiczne prace, jak np. Znanieckiego, były tak społecznie eklektyczne i nieśmiałe, że nie mogły liczyć na szerszy wpływ społeczny. Tylko bowiem społecznie nowatorskie kręgi, szukające ideologicznego wyrazu i teoretycznego uzasadnienia dla reform, ku którym dążą — są skłonne do pełnego i korygowanego przez praktykę korzystania z nowatorstwa metodologicznego, z propagandy nowego stylu myślenia.

Upowszechnia się bowiem ten nowy styl myśli, który służy nowemu życiu.

Mówię tu jedynie o wewnętrznych przeobrażeniach humanistyki mieszczańskiej, o jej zasadniczym wewnętrznym rozwoju. O przezwyciężaniu jednych stanowisk metodologicznych nie przez systemy bliższe ideałowi empirycznej wiedzy, lecz często przez systemy zdolne wprawdzie do krytyki pewnych metodologicznych nieporozumień i naiwności pozytywizmu, ale w zasadniczej swej tendencji jeszcze bardziej odbiegające od rygorów empiryzmu aniżeli system zwalczany. Bo tak było z koncepcjami kultury fenomenologów, Webera czy Rickerta. Świadomie nie uwydatniam tu roli pozamieszczańskiej, marksistowskiej krytyki humanistyki. Cytowane bowiem na początku polskie książki, aczkolwiek zbliżają się ostatecznie do koncepcyj marksistowskich i w ostatecznym wyniku nawiązują świadomie do sugestyj metodologicznych tego kierunku w nauce, to jednak, genetycznie rzecz rozważając, wyrastają z walki z tradycjami metodologicznymi wewnątrz humanistyki mieszczańskiej, wyrastają z przezwyciężania tych tradycyj drogą krytyki immanentnej. Dlatego też trudno uważać je za prace marksistowskie, raczej za badania, które w ostatecznych swych wynikach napotkały już gotowe rezultaty marksistowskie i przez to znalazły dalszą drogę rozwoju. Ale wyszły na to spotkanie z Marksem własnymi drogami. I dlatego nie są wolne od błędów, nieprzezwyciężonych reliktów fałszywej, wstecznej metodologii mieszczańskiej.

Znając dotychczasowy przebieg dyskusji nad cytowanymi pracami sądzę, że warto będzie zwrócić uwagę właśnie na te ich szczególnie cenne w Polsce a niezauważone aspekty metodologiczne. Ponieważ są to wyniki konkretnych poszukiwań w specjalnych dziedzinach, a nie abstrakcyjne traktaty metodologiczne — taka analiza, którą proponuję — nie uwydatni, rzecz jasna, całego bogactwa tych książek. Nie powie dokładnie, co one mówią o kulturze — a jedynie jak to robią. Ale też podkreślania pierwszego zadania podjęli się inni recenzenci. Ja, spóźniony, bodaj ostatni, odrabiając karygodne zaniedbania „Kuźnicy" w tym zakresie, mogę już wybrać sobie tylko tą specjalną problematykę krytyczną.

Niniejszą recenzję chcę poświęcić książce Jana Kotta p. t. „Mitologia i realizm"*) chronologicznie najwcześniej wydanej, napisanej w latach 1943—1944, w okupowanej Warszawie.

Trzeba tu się z góry zastrzec, że mówiąc o metodologicznym nowatorstwie tych książek mamy na myśli — nowatorstwo względne, w określonym miejscu i czasie.

Niewątpliwie mało znana u nas humanistyka markistowska osiągnęła znacznie doskonalsze na ogół rezultaty, jeśli chodzi o technikę postępowania badawczego, aniżeli cytowane prace. Niestety, te sugestie metodologiczne prawie nie przenikały do polskiej praktyki badawczej. Jeśli chodzi o nowatorstwo metodologiczne, książka Kotta jest u nas w dużej mierze pionierska, jest rezultatem dużego talentu badawczego, umiejętności otrząsania się z martwych tradycyj naukowych, dowodem samodzielności, krytycyzmu, dzielności umysłowej. Lecz zamierzeniem autora było rozważenie kilku konkretnych problemów z dziejów najnowszej literatury, a nie krytyka metodologiczna nauki o kulturze. W tym ostatnim zakresie po prostu wykorzystał, samodzielnie przemyślał i konkretnie zastosował wyniki krytyki metodologicznej, które przygotowywane były już od 50 lat niemal. To też książki Kotta nie można w żadnym sensie traktować jako manifestację jakiegoś nowego systemu metodologicznego. Po prostu książek metodologicznie nowatorskich, książek, które by wyrastały z przeżycia i przemyślenia dorobku nowoczesnej krytyki nauki o kulturze, jest w Polsce jak na lekarstwo. To też — jeśli chcemy odnowienia naszej humanistyki, usprawnienia jej jako narzędzia walki o nowe życie, musimy zwracać uwagę na każdą taką nowatorska książkę. Musimy ją także rozważać jako przykład zużytkowania pewnych cennych sugestyj metodologicznych, sugestyj służących zbliżaniu się humanistyki do ideału wiedzy empirycznej. Chce posłużyć się tu książką Kotta, jako właśnie takim przykładem, dobrze zdając sobie sprawę, że nie jest ona jedyną w swoim rodzaju. Właśnie jeśli idzie o nowatorstwo metodologiczne, reprezentuje raczej pewien typ, nie nazbyt często — ale przecież od dwu może dziesiątków lat dość często reprezentowany w europejskiej literaturze naukowej **). Jest natomiast wynikiem poważnego dorobku, już zupełnie indywidualnego, w zakresie problemów krytyczno i historyczno-literackich, które autor specjalnie sobie postawił i jak sądzę szczęśliwie rozwiązał.

*) Jan Kott „Mitologia i realizm", „Czytelnik" — Warszawa, 1946, str. 166.

### II. Zawartość i charakter książki.

Książka Kotta obejmuje szeroki krąg literackiego materiału, który analizuje porównawczo; jeszcze szersza i wielostronniejsza jest jej problematyka — od zagadnień interpretacyjnych, poprzez poszukiwania socjologiczno i formalno - literackie do prakseologicznych zagadnień postulowanej polityki kulturalnej.

Książka stanowi jednak z metodologicznego punktu widzenia przede wszystkim zbiór rozważań i analiz interpretacyjnych, a więc stadium wstępne poszukiwań literackich, przygotowawcze dla właściwych badań genetycznych nad dynamiką danego okresu dziejów literatury, czy dynamiką twórczości danego pisarza.

Typ metodologiczny książki Kotta, chociaż w swych osiągnięciach przeciwstawia się w wielu punktach krytycznie dotychczasowej tradycji humanistycznej, genetycznie rzecz biorąc wyrasta z sugestii antypozytywistycznych, a przede wszystkim antynaturalistycznych, pierwszej ćwierci XX-go wieku. Nie mam tu na myśli tych wszystkich uogólnień z zakresu flozofii kultury, którą antynaturaliści typu Dilthey'a, czy Troeltscha przeciwstawiali biologizującym uogólnieniom Spencera czy Taine'a; nie mam na myśli tego zespołu idej, który skonstruowano dla obalenia Spencerowskich tez o jednorodności ewolucji organicznej i nadorganicznej (społecznej), lub Taine'owskiego wywodzenia genezy kultury z natury i warunków przyrodzonych, czy wreszcie interpretacji typu Wormsa i jego szkoły, lub cytowanego już Spencera. Naturalizm bowiem, w postępowaniu badawczym humanisty, może się wyrażać nie tylko w uogólnieniach filozoficznych. Silniejszy wpływ na naukę ma właściwa naturalistycznej koncepcji kultury interpretacja metodologicznych dyrektyw tego postępowania badawczego. Nie tu miejsce na szczegółową analizę tego zagadnienia, mało znanego w nauce (wobec zaniedbania historii nowszej humanistyki). Ograniczę się do szkicowego omówienia paru arbitralnie i przykładowo wybranych dyrektyw, aby unaocznić konsekwentnie antynaturalistyczną podbudowę metodologiczną książki Kotta, pokazać jej faktyczny rozbrat nie tylko z filozoficznymi uogólnieniami naturalistycznej humanistyki, ale przede wszystkim z dyrektywami interpretacyjnymi i klasyfikacyjnymi naturalizmu. Jest to konieczne, gdyż humanistyka początków XX-go wieku, ciesząc się sławą przezwyciężania błędnych naturalistycznych założeń teorii kultury — właściwie przeciwstawiała się tylko wspomnianym uogólnieniom naturalistycznej filozofii kultury, zachowała natomiast, sublimując je nieco, założenia i dyrektywy metodologiczne naturalizmu. Technika (szeroko pojmując to pojęcie) interpretacji dokumentu literackiego, czy technika klasyfikowania zjawisk literackich u uczniów Dilthey'a nie wiele się w istocie różniła od postępowania uczniów Spencera. Dlatego też warto uwydatnić na przykładzie książki Kotta, jak wygląda proces konsekwentnego zrywania z przesądami naturalizmu właśnie na gruncie techniki postępowania badawczego, która w istotny sposób wiąże się z postulatami adekwatnego wyjaśniania analizowanych zjawisk.

Będzie to dotyczyło w pierwszym rzędzie **konstytutywnego dla wszelkich dalszych badań nad rzeczywistością kulturową stosunku czynności do wytworu.** Czytałem z tego punktu widzenia wiele rozpraw i teorii humanistycznych, znam tylko jedną klasyczną nienaturalistyczną interpretację tego stosunku, z „Kapitału" Marksa — z analizy procesu wytwarzania wartości. Ta interpretacja powtarza się i jest rozwijana potym tylko u konsekwentnych uczniów Marksa. Natomiast zarówno u pozytywistycznych uczonych, jak i ich mieszczańskich przeciwników — z początków XX wieku, zwalczających naturalizm w zakresie ogólnych programowych deklaracyj filozofii kultury, stosunek czynności do wytworu jest interpretowany naturalistycznie.

**) Szlachetnie i w wielki sposób ten typ humanistyki reprezentował Halbwachs (por. drukowaną w „Kuźnicy" rozprawę o nim Friedmanna).

### III. Czynność i wytwór.

Naturalistyczna interpretacja humanistycznego stosunku czynności do wytworu chce go sprowadzić do zwykłego prostego stosunku sprawstwa. Gdy mówimy w duchu tego poglądu, że szewc robi buty sądzimy, że ostatecznymi danymi **humanistycznymi** będą tu sensowne czynności organizmu ludzkiego w stosunku do pewnych fizycznie określonych materiałów. Otóż nie negując w żadnym sensie roli tych zależności sprawczych, nie możemy w obserwacjach humanistycznych pozwalać sobie na swobodne i nieempiryczne, w rzeczywistości nie występujące, sztuczne izolowanie fizycznego osobnika i danego mu fizycznego materiału w procesie tworzenia materiału. To nie „szewc robi buty". W konkretnym świecie społecznym ludzkim, w określonym czasie i przestrzeni, w procesie dziejów — to powiedzmy, robotnik najemny wytwarza towar. Marksowskie odróżnienie pracy konkretnej i pracy społecznej jest tu istotne. Stosunek czynności do wytworu w procesach powstawania kultury można pojmować naturalistycznie na wzór prostego stosunku sprawczego tylko sztucznie izolując sprawcę i wytwór z rzeczywistości społecznej. Taka izolacja jest błędem metodologicznym, błędem empirycznym. A pozwalali sobie na nią zarówno naturaliści rozumiejący człowieka — twórcę kultury, jako „naturę ludzką", interpretujący to pojęcie wyraźnie biologicznie, ale również i rzekomi antynaturaliści mieszczańskiej humanistyki początków XX-go wieku. Ci ostatni starali się jedynie determinować czynności humanistyczne, kulturo-twórcze tak izolowanej jednostki nieco subtelniej, a więc nie przez biologiczne właściwości natury ludzkiej, ale przez jej właściwości psychiczne, czy zgoła duchowe. Dawało to pole do dowolności wyraźnie antyempirycznych w rozważaniach humanistycznych, do zupełnie mitologicznego pojmowania indywiduum kulturo-twórczego, ale nie usuwało zasadniczego naturalistycznego rozumienia stosunku czynności do wytworu.

Przezwyciężanie naturalizmu w tym pozornie drobnym punkcie, a w istocie decydującym o naukowej praktyce humanistyki — zasługuje na osobne studium. Tu z konieczności ograniczę się do podkreślenia, iż jest ważną dyrektywą metodologiczną, aby tego stosunku nie izolować, nie odrywać od całości społecznej. Aby czynności kulturo-twórczej i jej prawidłowości nie determinować ani właściwościami, i prawidłowościami biologicznymi sprawcy, ani jego właściwościami duchowymi. Nasza wiedza o sprawcy, o konkretnym osobniku, o szewcu robiącym buty, wyposażone we wszelkie im właściwe konkretne jakości, jest u końca naszych humanistycznych poszukiwań, nie może ich wyprzedzać, nie może być na początku. Podstawowy dla wszelkich badań humanistycznych stosunek czynności do wytworu musi zatym być interpretowany nie na gruncie jakiejś uprzedniej wiedzy o naturze sprawcy, ale na gruncie społecznych danych, rzeczowych prawidłowości faktycznych czynności i związanych z nimi wytworów. Np. w dzisiejszym społeczeństwie buty wytwarzane są jako towar, posiadając wszelkie swoje przedmiotowe cechy, i nie wolno nam (wbrew narzucającym się sugestiom przesądów naturalistycznych) iść na początku badań dalej w naszych redukcjach i twierdzić, że buty to **przede wszystkim** fizyczny przedmiot o charakterystycznych jakościach, rezultat sensownych fizycznych czynności. Faktycznie w społecznej rzeczywistości, w warunkach naszego humanistycznego doświadczenia buty są towarem. Nie wystarczy ich charakterystyka fizyczna choć są w istocie fizycznym przedmiotem. Nie wystarczy fizyczna (czy sublimowana duchologiczna, ale wedle tej samej zasady sztucznej izolacji przeprowadzana) charakterystyka czynności, która je zdziałała. I wytwór i czynność, a przede wszystkim ich wzajemny stosunek musi być pojmowany społecznie, jeśli ma być pojęciem konstytutywnym dalszej teorii kultury. I nie chodzi tu o żaden socjologizm typu durkheimowskiego. Bo ten tylko konstruuje „osobnika zbiorowego"— wedle tych samych dyrektyw metodologicznych naturalizmu, które odnosiły się do hypotezy osobniczego sprawcy. Stosunek czynności i wytworu u Durkheima jest zmitologizowany, ale nie przestaje być stosunkiem sprawczym z racji swych cech formalnych. Szewc jest sprawcą buta. Klan totemiczny jest sprawcą rytuału religijnego, ale robotnik najemny wytwarza towar tylko wewnątrz kapitalistycznego

stosunku społecznego. I chodzi o to, aby w procesie wyjaśniania humanistycznego pamiętać, że to jest podstawowa, konstytutywna, wyjściowa dana obserwacji. Nie możemy postrzeganego buta i szewca od niej odrywać i izolować. Od niej wychodząc zbudujemy pojęcie indywidualnego sprawcy, interpretując, jego kulturotwórcze zachowanie nie tylko poprzez osobnicze prawidłowości organizmu, czy psychiki, czy struktury duchowej, ale poprzez prawidłowości faktycznie, empirycznie rządzące tworzeniem wartości.

Sądzę, że nie do pomyślenia jest wolna od przesądów naturalizmu interpretacja stosunku czynności do wytworu poza klasową koncepcją historii i społeczeństwa. Klasowa interpretacja procesów kulturotwórczych nie konstytuuje ich wyjaśnienia na stosunku sprawstwa. Gdy weźmiemy dla przykładu istotnie konstytutywne, podstawowe, jeszcze skąpe w treść wstępne konstatacje Marksa dotyczące wytwarzania towaru, spostrzeżemy bez trudu, że tu stosunek czynności i wytworu jest inny, bogatszy, aniżeli prosty stosunek sprawstwa. To umożliwia posługiwanie się pojęciem klasy. Zwykle przyjmowana w socjologii mieszczańskiej więź grupowa jest tak pojmowana, by grupie można było przypisać cechy i zachowanie zbiorowego sprawcy. Więź klasowa ma zasadniczo inny charakter. To też przy poprawnym rozumowaniu stosunki klasowe stanowią uwarunkowanie wszelkich więzi grupowych i wszelkich stosunków sprawczych w kulturze.

Pojęcie klasy umożliwia zgodną z danymi empirycznymi, a przeto dostatecznie bogatą i swoiście humanistyczną interpretację stosunku czynności do wytworu. Niesposób wyczerpać na tym miejscu całe zagadnienie. Przytoczę więc jedynie pewien wyjaśniający przykład. A mianowicie: W koncepcji Spencera — o niemożliwości zmiany ustroju kapitalistycznego decydują cechy natury ludzkiej, której wady i niedoskonałości tłumaczą, że społeczeństwo — zbiorowy sprawca — wytworzyło taki ustrój gospodarczej nierówności. Marks natomiast w znany sposób analizuje rzeczowe prawa wytwarzania i wzrostu kapitału, a w tym procesie szczególnie przywłaszczanie wartości dodatkowej. I nie natura sprawcy wyjaśnia wytwór — powiedzmy — owo przywłaszczenie, ale właśnie prawa rządzące tym przywłaszczeniem — dziełem ludzkim — stanowią podstawową wiedzę o klasie przywłaszczycieli. Oczywiście, pełna wiedza o tych ludziach korzysta nie tylko z danych dotyczących dążeń klasowych, ale i z danych psychologii i innych wielu nauk (z fizjologią włącznie). Tu jednak chodzi o to, od czego w teorii humanistycznej zaczynamy. Ta podstawowa wiedza nie pozwala zaczynać od konstruowania indywidualnego czy zbiorowego hipotetycznego sprawcy, gdy analizujemy wytwór i konkretną czynność, o której ten ostatni świadczy. Na gruncie więzi klasowej: stosunku do narzędzi produkcji — ograniczamy się do ustalenia rzeczowych prawidłowości właściwych danej dziedzinie kultury.

W badaniach literackich jest to o tyle skomplikowane, że dziedzina ideologii w kulturze stanowi nadbudowę i trzeba tu się posługiwać pojęciami już ustalonymi w badaniach ekonomiki danej kultury.

Trzeba jednak pamiętać, że o dążeniach klasowych mówią rzeczowe prawa rządzące prawidłowościami wytwarzania, podstawowego dla danej kultury faktu; w kapitalizmie — prawa produkcji towarowej. I w tej kulturze określają one w sposób podstawowy i zasadniczo warunkują wszelki stosunek każdego wytworu i związanej z nim czynności. Dotyczy to także dzieł literackich i czynności pisarskich.

Nienaturalisytczna, a więc konsekwentnie historyczna interpretacja stosunku czynności do wytworu musi go wyjaśnić prawidłowościami dynamiki tych procesów wytwórczych, które są zasadniczo charakterystyczne dla danej kultury, w danej epoce. Dla kultury kapitalizmu — prawidłowościami wytwórczości towarowej. Tylko wtedy bowiem potrafimy odróżnić szewca robiącego buty w 17 w. od szewca robiącego buty dzisiaj. A o to odróżnienie przecież chodzi. But z 17 w. różni się nie tylko tym, że bywa z safianu, a dzisiejszy z brezentu. Istotna różnica tkwi w odmiennych procesach wytwarzania, w odmiennych stosunkach czynności i wytworu, że but w 17 w. — wytwór rzemieślnika—nie był w społecznej, konkretnej rzeczywistości tym samym, co but dzisiejszy,—wytwór chałupnika czy najemnika. Nie był tym samym z racji swej genezy, z racji społecznego związku i charakteru czynności które go wytworzyły, z racji stosunku tych czynności do wytworu. Aby bowiem wyjaśnić sobie powstanie buta, nie można tego rozważać w 17 w. poza ustrojem cechowym, a w 20 w. poza, powiedzmy, ustrojem przemysłu chałupniczego. Inaczej — tracimy z oczu istotne i jedynie interesujące humanistę sprawy. I to nie jest kwestia dość dowolnego wyboru zainteresowań naukowych — historyczno - gospodarczych zamiast historyczno - estetycznych — ale kwestia ontologiczna, kwestia uchwycenia właściwych cech ontologicznych rzeczywistości humanistycznej.

Chcąc poznać momenty stosunku czynności do wytworów, różnicujące te ostatnie historycznie, nie możemy wychodzić od izolowanego sprawcy, od determinantów stosunku sprawczego. Wytwór — jako wartość, jako swoisty element świata kultury — określa historycznie zmienny społeczny stosunek produkcji. Podstawowe czynności produkcyjne analizuje teoria ekonomiki danej epoki.. Metodę badawczą wskazuje materializm historyczny.

Konsekwencje naturalistycznego interpretowania stosunku czynności do wytworu prowadzą do bardzo charakterystycznych błędów w poszukiwaniach humanistycznych. A mianowicie do posługiwania się zupełnie nieempiryczną koncepcją człowieka—twórcy kultury. Skonstruowaną tak, by odpowiadała formalnym wymaganiom stosunku sprawstwa, przyjętego za podstawę kulturowego stawania się. I to założenie i jego pojęciowe konsekwencje pozostają w jaskrawej sprzeczności z faktami. Są przecież mankamentem dobrze ukrytym, są założeniem przyjmowanym przez specjalistów bezkrytycznie, drogą nawyku, tradycji. I dlatego ten to właśnie przesąd naturalistyczny tak wiele szkody przynosi humanistyce, tak bardzo przeszkadza w osiąganiu adekwatnych, zgodnych z faktami wyjaśnień teoretycznych.

### IV. Jednorodność danych kulturowych.

Dalszą konsekwencją metodologiczną naturalistycznej interpretacji stosunku czynności i wytworu, stale występującą w praktyce humanistycznej, było całkiem dowolne dzielenie danych kulturowych na dwie wielkie klasy. Tych, które dały się interpretować na gruncie sprawczego pojmowania tego stosunku, i tych, które wymagały bardziej zawiłych interpretacji.

A więc mieliśmy klasę wytworów, będących bezpośrednim wyrazem natury czy struktury duchowej sprawcy, i klasę wytworów, będących wyrazem złożonego współdziałania skomplikowanych zbiorów tych natur i struktur duchowych. Na tym polega naprzykład odróżnianie elementów subiektywnych w dziele literackim będących wyrazem natury lub struktury duchowej twórcy, i elementów będących wyrazem „ducha epoki", „stylu epoki" i t. p. Nie kwestionuję prawa do takich odróżnień w ostatecznym wyniku badań, nie wolno nam jednak w duchu naturalistycznych przesądów — w procesie podstawowego interpretowania dokumentu literackiego zakładać, iż zinterpretujemy dzieło, odwołując się do dynamiki dyspozycji biopsychicznych czy duchowych sprawcy, zamiast odwoływać się przede wszystkim poprzez medium sprawcy do dynamiki społecznej i historycznej. Dzieło bowiem nie powstaje w izolacji. Stosunek za tym czynności artystycznej i wytworu artystycznego, w danym czasie i miejscu, jest w swej treści poznawczej na początku określonym historycznie stosunkiem społecznym, a nie stosunkiem indywidualnego sprawcy do konkretnego dzieła. Tej prawdy konsekwentnie broni Kott w swojej książce. Jego „twórca dzieła", to ani natura urobiona przez warunki rasy, klimatu, środowiska, ani psychika urobiona przez przeżycia osobiste, ani wreszcie mitologiczna struktura duchowa — jego Stendhal, czy Gide, to medium konkretnych przez społeczną historię swego czasu zaświadczonych sił i dążeń kulturo-twórczych, sił, o których mówi całość danych kulturowych, ich ustrój, ich faktyczne społeczne funkcjonowanie jako konkretnego historycznego systemu, a nie sił, o których może mówić sztucznie izolowany fizyczny sprawca, wyposażony albo w niewystarczające dla jakiegolwiek wyjaśnienia kultury empiryczne cechy organiczne, albo pojmowany „subtelniej", t. zn. wbrew rygorom empiryzmu, wyposażony w mitologiczne, dowolne właściwości, siły, dążenia. I to jest ważne zwycięstwo realizmu nad mitologią w metodach badań humanistycznych, którego piękny przykład daje książka Kotta.

### V. Badanie kultury i badanie stylu kultury

Konsekwencją tego pociągnięcia jest istotne poszerzenie problematyki teoretycznej. Humanistyka naturalistyczna, z racji swych założeń, ograniczała się do badania raczej przemian stylu kultury, niż przemian jej rzeczowej treści. Odpowiadano nie tyle na pytanie, jak to się dzieje, że w danym miejscu i czasie w ogóle może powstać i powstaje dzieło literackie o takich i takich właściwościach. Odpowiadano raczej na pytanie jak to się dzieje, że — zakładając w ogóle istnienie i rozwój literatury — jedne jej cechy jakościowe zastępowane są przez inne, że zmieniają się style. Te uwagi dotyczą nie tylko literatury, lecz również wszelkich zjawisk kulturowych. Przemiany stylu — najczęściej fałszywie — ale jakoś dawały się wyjaśniać przez odwołanie do izolowanych sztucznie indywidualnych sprawców i ich osobistych dążeń. Lecz sam fakt, że w ogóle kultura, że jakiś konkretny szereg, typ wytworów powoływany jest do życia, wytwarzany ciągle na nowo i ciągle inaczej i ciągle w nowych formach, w innej funkcji, z inną treścią, — to się całkowicie wymykało naturalistycznej humanistyce, zwłaszcza naukom specjalnym. Odsuwano te problemy do jakiejś dziwacznej ogólnej wiedzy o kulturze, często do socjologii, wbrew protestom fachowych socjologów. Otóż antynaturalistyczna praktyka humanistyczna pozwala nie tylko na interpretację dynamiki stylów, ale i na interpretację kultury, jej społecznego „mięsa" — interpretację genezy faktów kulturowych, „rzeczy" kultury, a nie tylko psychologicznie danych właściwości jakościowych, stylu tych „rzeczy". Zinterpretowanie powieści Gide'a jako wyrazu określonych sił społecznych swego czasu, jako konkretnej funkcji tych sił pozwala odpowiedzieć na pytanie, dotyczące ich genezy, dlaczego powstały i dlaczego powstały takie a nie inne. Tak czyni Kott, wywodząc powieść Gide'a z tych procesów, które zrodziły również późniejszy faszyzm ustrojowy i gospodarczy.

Wszelkie zaś najbardziej mitologiczne konstrukcje indywidualnego sprawcy tych dzieł pozwoliłyby co najwyżej błędnie i dowolnie wyjaśnić ich stylistyczną inność.

Oczywiście, podkreślając tu tak mocno warunki antynaturalistycznego pojmowania relacji czynności i wytworu w kulturze — nie negują ani roli indywiduum twórczego, ani wartości poznawczej obserwacji fizycznego stosunku sprawczego dla badań nad kulturą. Pisarze muszą istnieć, aby pojawiła się literatura. Ludzie jako organizmy muszą fizycznie pracować, aby istniała kultura. Pragnę tylko wyznaczyć właściwe miejsce dla tych obserwacji i danych w procesie wyjaśniania kultury. Teza, iż stosunek czynności do wytworu w kulturze ma treść bogatszą aniżeli prosty stosunek sprawczy, konstruowany na podstawie obserwowania wyizolowanego ze stosunków i związków społecznych sprawcy i przedmiotu jego poczynań, przedmiotu, którego dotyczą sensowne ruchy jego organizmu — teza ta nie obali bynajmniej tych prostych prawd o roli twórczej jednostki i zasadniczym znaczeniu ludzkiej, fizycznej pracy, oraz znaczeniu takiego narzędzia, jak organizm ludzki ze wszystkimi jego przyrodzonymi właściwościami dla teorii kultury i dla rozwoju kultury przede wszystkim.

Najważniejszą konsekwencją antynaturalistycznej postawy Kotta jest zupełnie inne pojmowanie człowieka — twórcy kultury. (konkretnie pisarza), aniżeli w tradycyjnych monografiach pozytywistów i antypozytywistów. W tym jest stosunkowo najbliższy marksistowskiemu literaturoznawstwu. Jakże daleko jesteśmy od książek, w których o pisarzu najwięcej mówił jego stosunek do paru kobiet, a najmniej ideologia polityczna. Jakże daleko od późniejszych książek, w których najwięcej o pisarzu mówił jego stosunek do paru dowolnie dobranych idealnych wartości, a najmniej funkcja społeczna dzieł, ich treści i formy. Kott przywraca tu właściwe proporcje. Mądrze ogranicza nadużycia biografistyki, eliminuje przywidzenia formalistów i pojmowanie sztuki jako autonomicznej historii objektywacji różnych norm i ideałów estetycznych. Kott indywidualności pisarskie konstruuje, wychodząc w pierwszym rzędzie od objektywnej funkcji społecznej dzieła w jego czasie, od ideologii politycznej, od klasowej wizji świata, klasowej ideologii, którą dzieło wyraża. Nie zapomina przecież o czynniku tradycji literackiej, jak również o różnicujących momentach indywidualnych, biograficznych. Szkicowa forma książki, umyślnie literacka, nie pedantycznie nauczająca, może nieco utrudnia wykrycie mądrej równowagi i właściwej proporcji tych elementów konstrukcji pojęcia pisarza, szerzej: człowieka — twórcy kultury.

### VI. Stosunek do formalizmu i teorii modeli idealnych

Z formalizmu przejął Kott słuszną tezę, iż nie należy naiwnie identyfikować sytuacji literackich i życiowych, postaci literackich i rzeczywistych. Wszystkie elementy dzieła, a więc zarówno rytmika, kompozycja, jak fabuła i poszczególne sytuacje są tylko znakami, środkami literackimi, wyrażają jakieś treści ideowe.

ADAM BROMBERG

Sprawy wydawnicze

# PLANY I REALIZACJE (II)*)

## Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"

Dawno już minęły te czasy, kiedy działalność wydawnicza „Książki" zamykała się w ciasnych ramach broszur propagandowych, dwu sztuk teatralnych, 10 tomików poezji i „Pana Tadeusza". Rok 1946 zmienił całkowicie charakter „Książki", wysuwając ją pod względem rozmiarów produkcji na czoło instytucji wydawniczych. Obserwacja działalności „Książki" w ciągu ostatnich pięciu kwartałów wskazuje na stale rosnącą produkcję, która w I kwartale br. osiąga przeszło 60 tytułów objętości łącznej ponad 10.000 stron o prawie milionowym nakładzie. Plan na kwartał II br. stawia ambitne zadanie podwojenia tej produkcji.

W tych warunkach jasne jest, że zdolności produkcyjne „Książki" rosną o wiele szybciej od wydajności własnego aparatu redakcyjnego i rozmach wydawniczy może być utrzymany tylko dzięki szerokiemu planowi reedycji, który w planie wydawniczym „Książki" stanowi ok. 75% nakładów i objętości łącznej.

Na przykład w I kwartale br. na 19 tytułów literatury pięknej znajdujemy aż 12 reedycji (France, Gorki, Kasprowicz, dos Passos Sinclair, Wasilewska i in.), które stanowią 70% objętości i 80% nakładów tego działu. W planie lektur szkolnych i książek dla dzieci młodzieży niemal wszystkie pozycje są reedycjami klasyków polskich i literatury światowej.

Również w dziale literatury marksistowskiej dotychczasowy — ogromnie cenny zresztą — dorobek „Książki" ogranicza się do reedycji przejrzanych często powtórnie, ale dawniej już dokonanych przekładów. Może rok bieżący dopiero przyniesie zamówione przez „Książkę" przekłady i opracowania.

Tych kilka słów dla ustalenia miejsca „Książki" wśród innych wydawnictw. Jest to w tej chwili najszybciej i — poza PZWS — najtaniej pracujące wydawnictwo, przystosowane do masowej produkcji. Dzięki szeroko podjętej akcji reedycji wartościowych pozycji literatury polskiej i światowej, „Książka" planowo przeprowadza fudamentalną odbudowę księgozbiorów.

Rozmiary produkcji „Książki" w roku 1946 i I kwartale 1947 ilustruje następująca tabelka (układ własny na podstawie dostarczonych materiałów).

**Produkcja Sp. Wyd. „KSIĄŻKA" w r. 1946 i I kwartale 1947**

| | Procentowy udział w produkcji: wg. ilości tytułów | wg. Objętości stron | wg. nakładu milj. egz. | wg. ilości druków milj. |
|---|---|---|---|---|
| Na ogólną ilość stanowiły: | 214 | 31140 | 3,8 | 34,0 |
| 1. Kalendarze | 0,9% | 2,1% | 1,6% | 3,6% |
| 2. Książki prawnicze | 3,3% | 1,3% | 0,8% | 0,2% |
| 3. Książki naukowe | 3,3% | 5,3% | 1,1% | 1,9% |
| 3a. Książki marksistowskie | 5,2% | 5,4% | 5,3% | 5,6% |
| 4. Książki popularno-naukowe | 7,9% | 5,5% | 3,3% | 2,3% |
| 5. Publicystyka reportaże | 30 % | 11,1% | 38,1% | 14,3% |
| 6. Literatura piękna (bez poezji) | 31,2% | 56,2% | 32,3% | 58,6% |
| 6a. Poezja | 6,2% | 3,3% | 1,8% | 0,9% |
| 7. Książki dla dzieci i młodzieży | 12 % | 9,7% | 15,7% | 12,6% |
| | 100% | 100% | 100% | 100% |

Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu literatura piękna stanowi przeszło połowę produkcji wydawniczej „Książki". Literatura marksistowska nie przekracza jednej dwunastej, a inne książki naukowe — jednej trzydziestej produkcji wydawnictwa. Szczególnie wyraźnie występują te proporcje przy porównaniu objętości. Zmniejsza się wtedy waga gatunkowa wydawnictw publicystycznych (broszur) z 30 na 11%, a literatura piękna łącznie z książkami dla dzieci i młodzieży wyrasta do przeszło 70 proc. produkcji. Te same mniej więcej proporcje zachowują się przy porównaniu ilości odbitek drukarskich każdego działu. Duża objętość i nakład wznowień beletrystycznych podnosi udział powieści i nowel prawie do trzech piątych produkcji, przy czym na 67 tytułów mamy tylko 6 książek wydanych po raz pierwszy i 4 tłumaczenia, wykonane na zamówienie „Książki".

**Adam Bromberg.**

*) Porównaj „Kuźnica", Nr 22/47 („Czytelnik").

Książka Kotta, to nie jest pełne studium genetyczne. To w znacznej części praca wstępna, opis zawartości dzieła, przekład znaków literackich na język ideologii. Dane ideologiczne dopiero należałoby z kolei wyjaśnić genetycznie przez wskazanie ich korzeni w rzeczywistych ruchach klasowych. Praca badawcza Kotta jest zatrzymana na tym stadium początkowym i to przesłania jego związki i zbliżenie z marksistowskim stanowiskiem w literaturoznawstwie. Wydaje się, iż Kott sprowadza fakty literackie do określonych postaw życiowych, a nie jakby należało do konkretnych dążeń klasowych. Książka stwarza pozory jakby Kott w teorii literatury był uczniem Webera i jego teorii modeli idealnych. Zdaje się, jakby dzieła miały być objektywacjami idealnych modeli postaw. Ale — sądzę — że to jest tylko pozór. Kott po prostu przekłada znaki literackiego wyrazu na język ideologiczny, na język postaw życiowych. Pojęcia tego języka u Kotta są o wiele za ubogie i zbyt schematyczne, aby, jak chcą zwolennicy teorii modeli, — dzieła literackie miały być w ostatniej instancji wyjaśnione w pełni jako obiektywacje tych idealnych modeli postaw życiowych. Tak bogate pojęcia postaw życiowych tworzyli istotnie badacze ze szkoły Dilthey'a. Były one jednak tworzone dowolnie, nie odpowiadały żadnym historycznie danym formom społecznego zachowania się ludzkiego, były czystymi konstrukcjami. Kott natomiast poprostu wyjaśnia fakty literackie jako odpowiedniki językowe określonych, historycznie danych ideologicznych postaw klasowych. Tak jest gdy mówi np. o rozczarowanym jakobiniźmie Stendhala. Po prostu Kott nie ukończył swej pracy. Należało dalej umiejscowić w historycznej rzeczywistości społecznej danego czasu te postawy klasowe, związać z faktycznymi procesami, ruchami masowymi, faktami ustrojowymi i gospodarczymi. Ale Kott postawił sobie cel skromniejszy, spełnił pracę wstępną: interpretatora dokumentu. Czy w świetle poniechanych przezeń, wieńczących trud naukowy badań genetycznych — jego wyniki ostałyby się? Prawdopodobnie tylko częściowo. Ale takie początkowe, wstępne stadium badań musi założyć sobie każdy uczony. Bez wstępnej interpretacji dokumentu niepodobna sformułować jego problematyki genetycznej, która, inna sprawa, jest w pewnym sensie tylko dalszym ciągiem, pogłębieniem i pełnym uzasadnieniem interpretacji, rozumienia faktu kulturowego.

**Stefan Żółkiewski**

(D. c. n.)

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

# CELESTYNA

Źródłem wszystkich mankamentów, jakie odnajdujemy w tym widowisku — w wystawionej przez Teatr Wojska Polskiego „Celestynie" w reżyserii Leona Schillera — jest zdaje mi się przede wszystkim to, że przeróbka tego 21-aktowego świeckiego misterium z końca XV-go wieku, dokonana w naszych czasach przez francuza Acharda, posiada swoje słabe strony.

Źródłem natomiast potęgi tego widowiska i naszego zainteresowania jest ciężar gatunkowy rzuconego nam tu przed oczy materiału literackiego. W tym dziele Hiszpana Fernando de Rojas'a (a może i innych współautorów), uchwytującym moment załamywania się średniowiecznego społeczeństwa i rozkład jego norm moralnych, aktualnie widziany oczyma człowieka ówczesnej epoki, mieści się takie bogactwo wątków dramatycznych i spraw ludzkich, że odrazu stają nam przed oczyma dzieje całej późniejszej literatury dramatycznej, w której te wątki przetrwały poprzez Szekspira aż do wielkich romantyków XIX-go wieku. Patrząc na „Celestynę" widzi się historię teatru.

Przeróbka Acharda wydobywa te najistotniejsze wątki i sprawy, ale nie komponuje wybranego materiału w całośc dostatecznie zamkniętą. Z tej przyczyny pozostaje jednak wrażenie fragmentów, okruchów czegoś większego, z tej przyczyny wiele scen — szczególnie większość scen Sempronia i Parmena — wygląda jak oderwane od całości i w sensie literackim zupełnie nieruchome obrazy, z tej przyczyny społeczny wizerunek epoki załamuje się chwilami na urwanych, niedopowiedzianych sprawach. Reżyser podkreślił to jeszcze, nadając niektórym obrazom postać niemal tylko plastycznej pantomimy, w której najważniejsze stają się przedmioty martwe (jak naprzykład srebrne zbroje w scenie pachołów).

Rozbudowano potężnie i wspaniale postać samej Celestyny, ale nie doceniono w dostatecznej mierze znaczenia jakie powinna mieć dla całości postać Centuriona. To chyba też mankament. Postać ta — zdegenerowana na tym etapie rozkładu średniowiecza postać przecież błędnego rycerza — ma dla wyjaskrawienia momentu historycznego znaczenie wprost kapitalne. I jakąż by mogła ta postać — obok Celestyny — dać więź konstrukcyjną widowisku, gdyby została przez reżysera mocniej wysunięta naprzód!

Zdaje mi się, że należało to zrobić. Należało zrobić wszystko, aby moment historyczny uwypuklić. W epoce „Celestyny" załamuje się średniowiecze. Za chwilę Kolumb odkryje Amerykę, za chwilę rozpoczniemy historię nowożytną. Średniowieczne uwarstwienie społeczne, średniowieczna ekonomika, średniowieczne formy życia, średniowieczna obyczajowość i normy moralne pomiędzy kamieniami młyńskimi Kościoła i rodzącej świecczyzny—wszystko to rozsypuje się w gruzy, gnije, wykoszlawia się groteskowo i potwornie. W „Celestynie" da się pokazać i postępowość tego momentu i jego bezrozumną, ciemną jak magia emocjonalność i jego groteskowość. Schiller pokazał występność i emocjonalność, ale groteskowość wszędzie tam, gdzie można ją było wyjaskrawić — przygasił.

Te dwie jednak pierwsze sprawy ujął mocno i bez kompromisów. Pomogła tu bardzo — wspaniała kreacja postaci „Celestyny" Jadwiga Chojnacka nie poszła tu na łatwy demonizm, ale zbudowała postać prawdziwie realistyczną i głęboko ludzką w uczuciach, w tragiźmie, w strachu i radościach swego zawodu czarownicy.

Wysoki swój poziom zawdzięcza też widowisko dekoracjom i kostiumom Władysława Daszewskiego. W budowie wnętrza, w budowie architektury panuje niezwykła czystość i zwięzłość. Epoka została scharakteryzowana tylko tym, co było jej elementem najważniejszym, najistotniejszym — i dlatego widzimy ujęcie jej tak doskonale trafnie. Na tych dekoracjach, jak na najlepszej lekcji, nauczyć by się można, czym różni się realizm od naturalizmu.

Dobre współgranie aktorów, znakomicie postawione i rozwiązane sytuacje — to zasługa reżysera. Z jedną jeszcze tylko uwagą dotyczącą całości: dosztukowany epilog wydaje mi się być naprawdę, ale to naprawdę — zbyteczny. Napisany językiem innej epoki i mocno przydługi — osłabia wrażenia z całości, niepotrzebnie całą sprawę tak pedantycznie komentuje.

Niedostatecznie też wyzyskana jest sprawa ilustracji muzycznej. Gdzie jak gdzie, ale w takiej „Celestynie" bogate i interesujące tło muzyczne byłoby chyba bardzo na miejscu. Muzyce, którą słyszeliśmy, brakowało przede wszystkim echa epoki, Nie była jednak zła. Była poprawna, miła, spokojnie klasyczna. Ale to za mało.

Melibea Ryszardy Hanin wydała mi się szczególnie znakomita w trudnej scenie z Celestyną w domu Don Pleberia. Kalikst — Andrzeja Łapickiego jest trochę zbyt szablonowy, nawet wtedy, gdy okłada batem pachołka. Nie jest to wprawdzie rola najciekawsza w sztuce, ale możnaby z niej chyba wydobyć trochę więcej charakteru.

Świetnie grające dwie pary, to dziewczęta Celestyny — Areuza Jadwigi Gosławskiej i Elicja Marii Koranówney — oraz Sempronio Zdzisława Szymańskego i Parmeno Henryka Borowskiego. A przytym ci dwaj ostatni w tym trudniejszej sytuacji, że mają obaj jakgdyby podwójne role: tchórzliwych pachołków Kaliksta i awanturniczych rzezimieszków. W niektórych scenach tych postaci zresztą nabardziej się uwidacznia owa fragmentaryczność i nieruchomość literacka obrazów, o której wspomniałem.

Dobry jest Centurion Tadeusza Cyglera. Tak dobry, że jeszcze raz musze wyrazić żal z powodu niedostatecznego wyzyskania w widowisku znaczenia tej postaci złajdaczonego błędnego rycerza.

**Juliusz Żuławski**

„Celestyna" Ferdynanda de Rojasa w Teatrze W. P. w Łodzi

# Symbolika, utopia czy nieporadność

W recenzji z „Miasta w dolinie" Juliusz Żuławski pisze — „Zaczyna się od symboliki. Swoje jakieś wyśnione, idealne miasto zawiesza Priestley... gdzieś w przestrzeni, w jakimś zupełnie nieznanym miejscu na ziemi, do którego rozmaici ludzie — wytypowani przedstawiciele klas społecznych — trafiają przypadkiem, wbrew woli, na skutek drobnych, prywatnych katastrof o symbolicznym posmaku. Droga powrotna z tego miejsca jest również symbolicznie „trudna", „niebezpieczna" i tp". Przy odrobinie dobrej woli, którą np. wykazywali współcześni symbolizmu, można by pójść jeszcze dalej i owe zgony, czy zamroczenią spowodowane różnymi wypadkami wziąć za argument, że jedynie w jakimś stanie pół śmierci — pół jawy wolno dostąpić uczestnictwa w szczęśliwym mieście. Trzeba umrzeć by żyć — taka była by wymowa symbolu. Wydaje się jednak, że koncepcja ta jest nietylko sztuczna, ale i niepotrzebna. Można sprawy te pojmować o wiele prościej. „Miasto w dolinie" jest konwencjonalną utopią literacką, której rodowód sięga daleko w przeszłość. Za tym przemawiałyby i realistyczna motywacja i społeczna tendencja sztuki. Motywacja jest aż śmiesznie dokładna. Dostojny lord sportsman spędza czas na grze w golfa, a więc dostaje kijem od golfa w głowę — kelnerka wypija trzy kieliszki alkoholu, czuła para małżeńska w podróży do stryja przeżywa katastrofę pociągu itp.

Drugą typową właściwością utopii literackich było kontrastowanie dwóch rzeczywistości, tej w której autor musi żyć, z tą idealną, gdzie przenosił swoich bohaterów. Zasadniczą różnicę między dwoma najbardziej rozpowszechnionymi typami utopii stanowiło to, czy autor przedstawiał właśnie ów „kraj wymarzony", ustalając w ten sposób jakieś idealne normy współżycia, czy też kontrastował dwie rzeczywistości, kładąc nacisk na krytykę istniejącego stanu rzeczy. Priestley wyraźnie podjął drugi typ koncepcji stosując utopię jako pewien odczynnik wykazujący dodatnie i ujemne reakcje społeczeństwa angielskiego. Pomimo że cały akt pierwszy sztuki Priestley'a przygotwuje do czegoś nadzwyczajnego, miasto w dolinie pozostaje tajemnicą aż do końca. Jest pokazane tylko jedynie poprzez naiwne doznania postaci. Utopia, której nie poznajemy, rozpływa się w ogólnikach o powszechnej pracy i radości, o jakiejś racjonalnej i sprawiedliwej organizacji życia. Brak skonkretyzowania i niejasność niszczą prawie zupełnie jej wymowę społeczną. Utopia Priestley'a traci istotny sens stając się tylko kapryśną właściwością kompozycji, a zarówno dziwne zamroczenia, jak i fikcyjne miasto wprowadzają niepotrzebne zamieszanie do typowego, mieszczańsko-realistycznego światka tej sztuki. Po odrzuceniu „formalnych nadbudówek", które wywołują pewną sugestię niejasności — a więc może głębi, a może wielkich rewelacji — okazuje się, że Priestley w bardzo konwencjonalny sposób widzi i przedstawia rzeczywistość. Problematyka sztuki dotyka zaledwie naskórka spraw istotnych. Wygląda na to, że w Anglii dlatego jest źle, bo spotyka się muzealne zabytki lordów, którzy myślą tylko o polowaniu i golfie. Jest jeszcze coś gorszego, gdyż ciągle istnieją kobiety, które chcą mieć własny ogródek, własne dzieci no i własnego męża. Łotr kapitalista sam nie wie poco gromadzi coraz więcej pieniędzy — a biedna kelnerka zmaltretowana brutalnością mężczyzn — zapewne jakaś cioteczna prawnuczka „Damy Kameliowej" reprezentuje jedynie słuszny stosunek do rzeczywistości. Cudowne miasto ma jej dać możność zdrowego życia. Pannie, która nie miała szczęścia znaleźć męża, umożliwi pracę w żłobku. Aspiracje i autora i postaci są tak niewielkie, że i z tego powodu utopia wydaje się zbyteczna.

Równie naiwne jak problematyka są i postacie sztuki. Łatwo jest godzić w starego półgłówka, którego mózg oddawna wysechł, łatwo ośmieszać idiotkę, która żyje tylko snobizmem, ale do tego sposobu nie uciekają się wybredniejsi pisarze. Żadna z postaci sztuki nie wyrasta ponad konwencjonalne typy komedii mieszczańskiej. Nawet sympatyczny marynarz tkwi jeszcze w tym okresie, kiedy rację mógł mieć tylko człowiek biorący wszystko „na zdrowy rozum". Apoteoza prostego rozsądku, który reprezentuje i poczciwa posługaczka jest sprawą bardzo niebezpieczną dla każdej ideologii. Tego autor wydaje się niedostrzegać. Tak samo jak nie odróżnia problemów od konwencjonalizmu problematyki literackiej.

**Ewa Korzeniewska**

**PANKRACY I HENRYK**

Niedawno przeczytałem na nowo „Nieboską komedię", odnajdując w niej nowe uroki, nieznane ani uczniom szkół średnich, ani studentom polonistyki, oraz nowe myśli, które czas wielkich przemian odkrywa zazwyczaj w arcydziełach literatury. Zbyt rzadko i zbyt konwencjonalnie czytujemy klasyków, nawet rodzimych. Dlatego ich aktualność uchodzi naszej uwadze. „Nieboską", a zwłaszcza scenę ideologicznej dyskusji pomiędzy Pankracym i hrabią Henrykiem rozesłałbym przedewszystkim do ośrodków naszej politycznej emigracji. Jeśli ich nie przekonała historia, może by ich przekonał na nowo i poprawnie odczytany poeta.

Przyznam, że z wielu zdań Pankracego, jedno szczególnie wydało mi się interesujące. Gdy Pankracy decyduje się na odbycie rozmowy z Hrabią w jego zamku, Leonard prosi go, by mu pozwolił sobie towarzyszyć dla obrony:

Leonard: Mnie jednego przynajmniej weź z sobą — to pan, to arystokrata, to zdrajca.

Pankracy (wskazując mu ręką by został): Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem.

Porzućmy teraz tekst utworu hrabiego Zygmunta. Historia nie okazuje się bynajmniej tak wspaniałomyślna: ani jak Pankracy, rezygnujący ze zbrojnej asysty, ani jak Hrabia, który po długiej rozmowie z rewolucyjnym przywódcą każe go służbie odprowadzić „aż do ostatnich czat moich na wzgórzu". Przeciwnie: rewolucja, jeśli rezygnowała z czujności i zbrojnej ochrony, zazwyczaj przegrywała, zaś strażnicy dawnego porządku nigdy nie zdobywali się na gesty, którymi poeta uszlachetnia rycerza przegranej sprawy. Posłuchajmy co pisze Marks o tych sprawach w związku z postępowaniem wersalczyków i z sytuacją oblężonej Komuny: „Umiarkowanie Komuny w ciągu dwumiesięcznego bezspornego panowania było tak wielkie, że można je tylko porównać z bohaterstwem jej obrony". A wersalczycy? „Thiers już od początku walki zaprowadził humanitarny zwyczaj rozstrzeliwania pojmanych komunardów". Gdy wersalczycy wtargnęli do Paryża rozpoczęły się z jednej strony masowe rzezie rewolucjonistów, z drugiej zaś rosła potworna i kłamliwa legenda o rzekomych okrucieństwach Komuny. Legendy o okropnościach przewrotów rewolucyjnych bledną jednak całkowicie wobec prawdy o okrutnych czynach, jakich dopuszczają się reżimy zachwiane w swojej władzy, kasty, którym usiłowano odebrać hegemonię — „Przy każdym nowym triumfie nad ofiarnymi bojownikami o nowe i lepsze społeczeństwo haniebna cywilizacja oparta na uciemiężeniu pracy — pisze Marks w swoim dziele o „Wojnie domowej we Francji" — zagłusza jęk swych ofiar hałasem nagonki, wrzaskiem potwarzy, na które odpowiada echo całego świata".

Integralna sprawiedliwość, integralna moralność, integralna demokracja czy integralny pacyfizm — oto pojęcia okresu liberalistycznego, który zatraciwszy w wieku XX wszystkie swoje postępowe rysy, jakie niewątpliwie posiadał jeszcze w wieku XIX, przetrwał jeśli nie w rzeczywistości historycznej, to w każdym razie w umysłach tych, co nie chcą lub nie potrafią dostrzec prawdziwego sensu i kierunku historii. W tych pojęciach przymiotnik zwraca się przeciwko rzeczownikowi. Mamy na to dowody tak precyzyjne, jak np. zachowanie się socjalistów niemieckich w przeddzień zamachu faszystowskiego, postawa państw demokracji zachodniej wobec faszystowskiej interwencji w Hiszpanii itd. Integralna demokracja musiałaby przestać istnieć następnego dnia po jej ogłoszeniu, gdyż nie mając żadnych sankcji przeciwko swoim wrogom, zadowoliłaby się wywieszeniem dziesięciu przykazań o szlachetności i dobroci człowieka.

Rzeczy dobre i słuszne muszą być bardziej strzeżone niż złe i fałszywe. Postęp społeczny, który musi się odbywać przy jednoczesnej likwidacji wszystkich hamulców, jakie nakłada na koło historii warstwa zadowolona ze sprzyjającego jej stanu rzeczy, wymaga tej ochrony ku niezadowoleniu swoich przeciwników. Jaskrawym przykładem historycznym działania mądrej i prawdziwej demokracji jest fakt zniesienia kary śmierci w Związku Radzieckim. Przeciwnicy demokracji radzieckiej nieraz używali argumentów o rzekomym antyhumanitaryzmie radzieckiego systemu penitencjarnego. Zastanówmy się jednak czy można by dziś, po wieloletniej wojnie usunąć z kodeksu radzieckiego karę śmierci, gdyby Związek Radziecki powstrzymał się naprzykład w latach dwudziestych od surowej kontrakcji przeciwko działającemu na jego terytoriach międzynarodowemu szpiegostwu i zdradzie interesów klasy robotniczej. Myślę, że otoczone zaciskającym się w owe lata pierścieniem międzynarodowej imperialistycznej blokady, państwo radzieckie musiało używać środków tak ostrych, jak ostrymi były środ-

ki jego wrogów. Gdyby radziecki kodeks karny szedł w owych latach po linii rozumowania „integralnej demokracji" wówczas „integralni demokraci" szybko odzyskaliby wymarzone, lecz utracone po rewolucji 17-go roku rynki wschodnie. Prawdziwy humanitaryzm i prawdziwa demokracja odznaczają się przedewszystkim umiejętnością rozumienia obiektywnych warunków wśród których wypada im się zainstalować. Zmieniona sytuacja polityczna świata, wewnętrzna słabość systemu kapitalisycznego, wzrost świadomości mas ludowych i zmniejszone realne możliwości siania zamętu przez imperialistyczne ośrodki wielkich mocarstw zachodnich pozwalają Związkowi Radzieckiemu powrócić do przerwanej w roku 1939, a odsuniętej na dalszy plan w roku 1941, rozbudowy gospodarstwa narodowego. Pomimo buńczucznego potrząsania bombą atomową, pomimo tu i ówdzie występujących oznak istnienia faszystowskiej groźby, świat wkracza w okres długiego pokoju. Dla państw kapitalistycznych ten pokój będzie czasem kryzysów i trudności, dla państw demokracji ludowej, dla Związku Radzieckiego będzie to czas wewnętrznego pokoju i odbudowy. Społeczeństwo radzieckie scementowane doświadczeniem wojennym bardziej niż kiedykolwiek docenia słuszność zasad na których oparty jest ustrój Związku Radzieckiego. Interwencja obca jest nie do pomyślenia. Dlatego też kara śmierci mogła zniknąć z radzieckiego systemu penitencjarnego nie tylko jako kara sprzeczna z założeniami systemu, który dąży do większego szczęścia ludzkiego, lecz co ważniejsza, jako kara już zbędna i nieumotywowana ani wewnętrzną, ani zewnętrzną sytuacją państwa radzieckiego.

Jeśli gdzie Pankracy mógłby się dziś przechadzać swobodnie, to nie w Grecji, ani w Hiszpanii — dwóch granicznych krajach basenu śródziemnomorskiego z którego kultury tak wszyscy jesteśmy dumni, lecz w krajach ludowej demokracji, oddzielonych rzekomo „żelazną kurtyną" od reszty świata. A stara szlachta? Myślę, że szlachetny hrabia Henryk, jeśli by przestał być bohaterem utworu hrabiego Zygmunta mógłby bezpiecznie pracować w „Społem" lub w redakcji „Dziś i Jutro". Świat się bowiem zmienia, trzeba mu tylko trochę w tym pomóc!

**Kandyd**

# O KWARTALNIKU „DZIEJE NAJNOWSZE"

Nareszcie ukazało się pismo, które wypełni jeszcze jedną t. zw. lukę, wśród wielu luk naszego życia intelektualnego doby obecnej. Pismem tym są „Dzieje Najnowsze" kwartalnik „Instytutu Pamięci Narodowej".

Tytuł tego periodyku wskazuje jego zadania. Mieliśmy już organ poświęcony badaniom naszych dziejów najnowszych (po r. 1863) „Niepodległość". W okresie, gdy redagował periodyk ten Leon Wasilewski, był to rzeczywiście organ poświęcony badaniom historycznym. Był może zorientowany jednostronnie, ograniczając się przeważnie do studiów nad historią ruchu socjalistycznego, PPS w szczególności. Następca jego na tym stanowisku i współpracownicy „Niepodległości" ograniczali się do apologii Józefa Piłsudskiego i jego wiernych giermków. Stworzyli oni pewnego rodzaju „historiozofię stosowaną", której punktem wyjścia i nutą zasadniczą była duma z dokonanego dzieła, tj. ze zdobycia władzy. Była to raczej funkcja stemplowania i rozdawania cenzur, a nie praca badawcza. Z biegiem lat historycy grupujący się koło „Niepodległości" w coraz skromniejszych rozmiarach uwzględniali w tym piśmie dzieje ruchu socjalistycznego. Starano się, by zapomniano o fakcie, że Piłsudski był do r. 1914 członkiem PPS. Po jego śmierci w okresie Śmigłego Rydza dzieje ruchu socjalistycznego były w „Niepodległości" nieomal wykłęte. Stowarzyszenie b. więźniów politycznych nie chciało dopuścić do zaniedbania badań nad dziejami ruchu socjalistycznego w Polsce i założyło organ własny („Kronika ruchu rewolucyjnego") redagowany przez dwóch historyków i członków PPS — Adama Próchnika i Jana Krzesławskiego - Cynarskiego. „Dzieje Najnowsze" mają prowadzić w dalszym ciągu prace badawcze w dziedzinie naszej historii najnowszej pod kierownictwem Stanisława Pławskiego jako redaktora i Janusza Durko jako sekretarza redakcji.

W słowie wstępnym „Od Redakcji" czytamy iż „zainteresowanie szerokich kół społeczeństwa polskiego zagadnieniami najnowszej historii wzrosło ogromnie". Redakcja uzasadnia dlaczego uważa za początek dziejów najnowszych r. 1864, gdyż w latach tych tworzą się zręby nowoczesnej historii Polskiej: z jednej strony kształtuje się kapitalizm polski, z drugiej zaś rodzi się masowy ruch socjalistyczny i ludowy wyrastający z jednego wspólnego pnia, walczącej demokracji polskiej. Redakcja nie ma zamiaru ograniczać się wyłącznie do badania historii ruchu robotniczego i ludowego" gdyż chcąc dać tło społeczne na którym działa demokracja polska, starać się będziemy również wyjaśnić rolę i działanie tych sił społecznych, z którymi demokracja prowadziła walkę". — „Dzieje Najnowsze" nie chcą być tylko warsztatem historii politycznej Polski lecz będą uwzględniały zarówno tło społeczne i gospodarcze omawianych zjawisk politycznych jak i tło ogólno - dziejowe".

Numer pierwszy dzieli się na cztery części:

1) artykuły zasadnicze natury ogólnej 2) dokumenty, relacje i listy 3) referaty i sprawozdania, 4) bibliografia.

Przypuszczam, że redakcja uważa ten podział za stały i te cztery działy będą utrzymane i w numerach następnych.

Inauguracją dyskusji zasadniczej jest artykuł Henryka Wereszyckiego pt. „O problematykę historii polskiej". Autor stwierdził iż „po każdym wielkim przełomie politycznym historiografia stara się wykorzystać zdobyte doświadczenia historyczne aby stworzyć nowy pogląd na istotne problemy przeszłości". Ten „przewrót dziejowy" i jego skutki oznaczają jednocześnie „zadanie rewizji ówcześnie obowiązujących poglądów", powstaje konieczność „skonfrontowania naszych rozwiązań naukowo badawczych z nowymi, zapewne jeszcze donioślejszymi przemianami które wyniknęły z gruntownej przebudowy Państwa Polskiego". Autor stwierdza, iż pierwsza wojna światowa wywołała w skali światowej ogromny przewrót, lecz druga wojna, którą przeżyliśmy, „dokonała w ogólno światowych stosunkach politycznych przemian jeszcze znacznie głębiej sięgających". Reperkusją tych przemian było w świecie nauki historia lata trwająca dyskusja na temat programu badań i kierunku pracy historyków polskich po r. 1918". Taki program badań trzeba będzie ustalić i w chwili obecnej. Zdaniem Wereszyckiego „ hierarchia problemów, a raczej cała problematyka najnowszej historii polskiej musi być dzisiaj inaczej postawiona". Autor uzasadnia przyczyny tych zmian i układa program badań dziejów najnowszych. Program ten możnaby ująć w sposób następujący 1) rewizja poglądów na zagadnienie upadku i odbudowy państwa polskiego (1939—1945) 2) badanie dziejów Europy Wschodniej i Środkowej 3) wewnętrzne dzieje Polski 4) dzieje emigracji zarobkowej w Europie i w Ameryce .Oto myśli zasadnicze tego ciekawego artykułu pisanego z ogromną erudycją. Przypuszczam, iż wywoła on dyskuję bardzo ożywioną.

„Dzieje Najnowsze" ogłaszają początek na większą zdaje się skalę zakrojonej pracy Adama Próchnika o Ludwiku Waryńskim. Próchnik od lat zajmował się losami tego wspaniałego rewolucjonisty, który był jego „umiłowaną" postacią. Niestety, wojna i śmierć uniemożliwiły Próchnikowi ukończenie tej pracy. Pozostał tylko fragment wstępny.

Pewnego rodzaju rewelacją naukową jest artykuł Henryka Jabłońskiego pt. „Z dziejów obozu legionowo peowiackiego": Dotychczas mówiło się, iż obóz ten dopiero po przewrocie majowym w r. 1926 zapomniał o ideałach swej młodości czasu 1909—1926 tj. od chwili powstania Związku Walki Czynnej do ojęcia władzy przez Piłsudskiego. Jabłoński broni tezy wręcz odmiennej. Zdaniem jego elitarny charakter P.O.W. i wszelkich tworów ideologicznych i organizacyjnych obozu Piłsudskiego, jego minimalna liczebność i mała popularność wśród mas robotniczych i chłopskich była wynikiem prawicowych poglądów i wodza i wyznawców, skutek czego „obóz Piłsudskiego już wówczas nie mógł ze swym oficjalnym programem trafić do szerokich mas robotniczych". Zasadnicze tezy swej pracy udowadnia Jabłoński wyjątkami z listów jednego z najwybitniejszych Piłsudczyków — Przemysława Barthel do Weydenhala (płk. Barty). Listy te są, zdaniem Jabłońskiego jednym z dowodów stwierdzających słuszność jego tezy.

Słuszność sprawozdawcy nie pozwala na polemikę z autorem, autorytetem w tej dziedzinie bezspornie wielkim, jednak mimo woli przypomina się w tej chwili sąd Jabłońskiego wypowiedziany w tym samym artykule. Pisze bowiem autor: „Nie można jednak oceniać P. O. W. i jej podstawy jedynie przez pryzmat ludzi takich jak Barta, choć był on jedną z czołowych postaci tego obozu". Sedno rzeczy tkwi w dominującej i kierowniczej roli Piłsudskiego i w jego potężnej indywidualności, przewyższającej wszystkich, którzy się koło niego grupowali. Organizacje, które tworzył, lub te, które jego zwolennicy powoływali do życia pozostawały pod przemożnym wpływem Piłsudskiego, bez względu na światopogląd ich członków. Była to typowa dyktatura jednostki, oczywiście możliwa na tle konkretnych warunkach społeczno - gospodarczych. Mimo te zastrzeżenia muszę podkreślić dużą wagę studium Jabłońskiego, jako zapowiedź obiektywnych badań nad tą zakłamaną epoką naszych dziejów.

W trzeciej części (Dokumenty — Relacje — Listy) bardzo wartościowym i ciekawym dokumentem są listy Jana Stróżeckiego do Kazimierza Pietkiewicza. Autor i odbiorca tych listów (lata 1897—1900) wybitni działacze PPS, znaleźli się na zesłaniu na Syberii. Stróżecki został zesłany do Kołymska) w Kraju Jakutów), Pietkiewicz do Wierchojańska. Obaj przyjaciele pisywali do siebie bardzo często. Uratowało się 15 listów Stróżeckiego do Pietkiewicza, z których „Dzieje Najnowsze" ogłaszają dziesięć.

Listy te są dokumentem jedynym w swoim rodzaju. Poznajemy środowisko towarzyskie, obyczajowe i społeczne 500 zasłańców politycznych stłoczonych na małym skrawku ziemi w otoczeniu Jakutów - tubylców lub Rosjan, podpór „porządku" carskiego. 500 osób, mężczyzn i kobiet, starych i młodych, których łączyła wspólna walka z caratem, dzieliła narodowość, poziom intelektualny, kultura osobista i — przekonania polityczne. Mieszkali ci rewolucjoniści w warunkach prymitywnych, jakie sobie trudno wyobrazić, skazani na zapomogę rządową, oderwani (dosłownie) od świata z powodu braku komunikacji, czego dowodem, iż poczta dochodziła tam zaledwie kilka razy do roku. Jeżeli dodam, iż Stróżecki miał w ówczas około lat 30, a Pietkiewicz był 9 lat starszy, ogrom tragizmu był zupełny.

Listy te są dokumentem obyczajowym tego środowiska zesłańców — rewolucjonistów, na podstawie którego bliższą nam się staje epoka sprzed lat 50, ludzie przestają być „postaciami historycznymi", a stają się — ludźmi mającymi kłopoty, zmartwienia będące wynikiem tragicznego środowiska, w którym aktualnie żyją. Tego rodzaju dokumentów mamy, jak wiadomo, niesłychanie mało.

W IV Dziale (Referaty i sprawozdania) bardzo cenną jest recenzja Witolda Kuli o książce Wacła Jastrzębowskiego

Wreszcie Wanda Kiedrzyńska omawia wspomnienia rozmaitych osób z więzień i z obozów hitlerowskich.

**Alfred Krygier.**

# Czym są, a czym mogą być Uniwersytety Ludowe

Szczęśliwą rękę miał J. A. Król, podejmując w swych artykułach przed rokiem zagadnienie Uniwersytetów Ludowych w Polsce.

Omawiane na łamach „Wsi", szerokim echem odbiło się w rozmaitych pismach. Różne padały głosy. Ostatecznych wniosków z dyskusji nie wyciągnięto. Nic więc dziwnego że znów po paromiesięcznej przerwie to samo zagadnienie znalazło się na łamach, tym razem „Kuźnicy." Może nareszcie dojdziemy do porozumienia. Sprawa ważna. W miastach i ośrodkach robotniczych życie kulturalno-oświatowe młodzieży pozaszkolnej skupia przeważnie i z pożytkiem w swym ręku T.U.R.

Odpowiednikiem — na tym odcinku — na wsiach mogą się stać Uniwersytety Ludowe.

Liczne szeregi młodzieży chłopskiej potrzebują tego typu placówki kult.-oświatowej. Uniw. Lud. mogą stać się awangardowymi placówkami oświaty i kultury polskiej.

W tej chwili tych zadań U.L. jeszcze nie spełniają, a przynajmniej w niewielkim zakresie. Oczywiście składa się na to wiele przyczyn. Wśród nich do najistotniejszych należy to, co można by ująć w dwu słowach — bezdroża programowe, na jakich znalazły się U.L.

Drugą przyczyną niskiego poziomu znacznej większości U.L. jest brak kwalifikowanych pracowników, oczywiście nie dlatego, żeby ich nie było w ogóle, ale dlatego, że kiepsko im się płaci.

U.L. potrzebują pracowników — społeczników, o szerokim horyzoncie umysłowym, o dużym wachlarzu zainteresowań. A na takich w dzisiejszych warunkach jest popyt niezwykły. Ale to na marginesie.

Istota U.L., jak zresztą każdej placówki kultur.-oświatowej, leży w programach i metodach pracy.

I jeśli pod tym kątem patrzymy na dzisiejsze U.L., to bez trudności dostrzegamy wśród praktyków i teoretyków, ogólnie rzecz ujmując, dwie koncepcje.

Pierwszą koncepcję reprezentuje szkoła „Gruntwigowsko-Solarzowa", drugą — jeśli tak można rzecz ująć — reprezentanci pragmatyzmu społecznego.

Zwolennicy pierwszej koncepcji (Radwan Wł., większość Zarządu Głównego, T.U.L. i inni), mając na celu w U.L. rozwój osobowości, rozwój wychowanka i jego sfery uczuciowej w oparciu o tzw. kierowane samowychowanie, uznają raczej program improwizowany, a więc powstający w trakcie trwania kursu.

Mając zaś stale na uwadze potrzebę wewnętrznej ekspresji wychowanków, sięgają w swych pracach często do literatury pięknej, muzyki, sztuki itp:

Oczywiście rzecz sama w sobie nie jest zła, przeciwnie, byłaby godna pełnego uznania, gdyby nie małe ale — wyrastające z metod pracy z tym „materiałem" programowym. Operowanie tylko specyficznie dobranym materiałem literacko-artystycznym, poza tym, że przenosi się wychowanków w świat idealny, poza tym, że wyrywa się ich z rzeczywistości, stwarza jeszcze wokół całej pracy U. L. — atmosferę świąteczno-karmelkową.

Zwolennicy koncepcji drugiej (J. A. Król i inni), jak wyżej powiedziano wyraziciele pragmatyzmu społecznego, pragną widzieć w U.L. instytucję przygotowującą w ścisłym tego słowa znaczeniu pracowników społecznych w środowiskach ospałych i gnuśnych, nie moralizatorów i nie aktorów, ale teoretyków umiejących założyć Koło Młodzieży we wsi, rozumiejących potrzeby samorządu gminnego, znających obowiązki członków Gminnej czy Pow. Rady Narod., umiejących poprowadzić zespół przysposobienia rolniczego itp.

Do tego potrzeba pewnej określonej wiedzy, potrzeba poznania rzeczowego dzisiejszej rzeczywistości polskiej, nie wyimaginowanej, ale takiej jaką ona jest w istocie, potrzeba i gruntownej nauki o Polsce i świecie współczesnym w zespole. I trzeba nauczyć się pracować.

Oczywiście że takie postawienie sprawy wymaga po pierwsze z góry opracowanego programu, zawierającego określony materiał poznawczy i innych metod pracy.

Program i metody pracy stanowią więc zasadnicze problemy U.L.

Zastanówmy się chwilę, skąd się zrodziły te dwie koncepcje i czy są możliwości porozumienia się. Niewątpliwie tak, bo nie ma sytuacji bez wyjścia, jeśli obie strony podejdą do sprawy rzeczowo i spokojnie.

Koncepcja pierwsza (nazwana szkołą Gruntwigowsko-Solarzową) korzeniami swymi sięga głęboko we wczoraj nowej Polski.

Większość jej zwolenników to ludzie — pionierzy idei U.L. na gruncie polskim, to współtwórcy a Uniwersytetu Solarzowego w Polsce lub jego wychowankowie.

Oni głęboko tkwią w atmosferze U.L. przedwojennych, są obciążeni tradycją U.L., które cechowała niewątpliwie spekulacja intelektualno-nastrojowa, patrzenie w głębię jaźni człowieka, jego postawy moralnej, duszy.

Tragedia polega na tym, że ci ludzie (najczęściej praktycy w dzisiejszych U.L.) chcieliby żywcem przenieść idee i styl życia i pracy Uniwersytetów przedwojennych do nowej rzeczywistości polskiej, co jest niewątpliwie wielkim nieporozumieniem. Bowiem w nowej rzeczywistości szereg zadań jakie miały U.L. stały się bezprzedmiotowe, a zrodziły się nowe. Prze dwojną np. trzeba było w młodzieży chłopskiej budzić poczucie pełnej wartości, trzeba było walczyć by chłop nie dał się złamać i nie przechodził na służbę sanacji.

(Stąd to stawianie na osobowość i ducha wychowanków). Dziś te problemy mają zupełnie inny wyraz. Chłop zdobył poczucie pełnej wartości w stosunku do Państwa i poczucie współodpowiedzialności za jego losy w Batalionach Chłopskich i w ciągłej walce z okupantem. Dziś czuje się pełnowartościowym obywatelem i miejsce sanacji zajmują jego bracia i siostry.

Nie ma więc tego problemu.

Są natomiast inne. Jak się np. przygotować, by móc brać udział w całej pełni w odbudowie życia gospodarczego własnymi rękoma, jak upowszechniać oświatę i kulturę, jak pracować w spółdzielni rolniczej, jak wyjechać i jak się urządzić na Ziemiach Odzyskanych.

I odpowiedzi na takie problemy — chcą widzieć w U.L. zwolennicy drugiej koncepcji. Ale i ci na pewnym odcinku pewnych rzeczy nie widzą.

Stawiając potrzebę określenia programu w U.L. pod kątem nowej rzeczywistości polskiej co nie budzi żadnych zastrzeżeń, równocześnie mocno atakują np. metody pracy.

Otóż warto zwrócić uwagę, że metoda pracy jest rzeczą raczej drugorzędną w porównaniu z programem. Wynika w dużej mierze z założeń programowych. Posiada jednak elementy niewzruszalne, ażeby uznana była za dobrą, a do takich należą np. uwzględnienie samodzielności wychowanków, do takich należy i odpowiednia, właściwa atmosfera w U.L. Musi w U.L. panować wzajemna życzliwość, pogoda, samopomoc koleżeńska itp.

Trzeba przyznać, że dotychczasowe Uniw. Lud. i przedwojenne właśnie cechowała taka atmosfera pracy, choć miała inne cechy.

O tym nie można zapominać — pragnącym reformy U.L.

Na zakończenie jeszcze trzeba wspomnieć o jednym. Dzisiejsze U.L. cierpią bardzo na nadmiar nianiek. Duszą się pod wpływem czułości, jakie okazują Min. Rolnictwa i Ref. Rol, Min. Oświaty, T.U.L., i Bóg wie, kto jeszcze.

Trzeba by ostatecznie ustalić, do kogo mają należeć U.L., kto ma je finansować, kto czuwać nad ich poziomem itd.

Podstawy formalno-prawne istnienia U.L. (choć Min. Oświaty wydało okólnik w tej sprawie) są nadal niejasne i utrudniają właściwy ich rozwój.

**Jan Zieliński**

## Non omnis moriar

Niedawno „Kuźnica" drukowała notatkę o tym, że szowinistyczny przywódca socjalistów niemieckich Kurt Schumacher ma ideologię podobną do „demokratycznego" szwajcarskiego publicysty Karla von Schumachera „Weltwoche".

Jeden z dobrze poinformowanych dziennikarzy zagranicznych uzupełnił mi tę notatkę paroma istotnie interesującymi szczegółami. Czasopismo „Weltwoche" — tak niezwykle

rozpowszechnione i czytane dziś w milionach egzemplarzy — zostało założone i było opłacane przez Goebelsa. Zręcznie zakamuflowany organ hitlerowskiej propagandy wychodził i wychodzi jako organ zachodnio-demokratyczny. I dziś w imię „integralnej demokracji" walczy o sprawiedliwość dla pokrzywdzonych Niemców.

Goebels na Zachodzie nie wszystek umarł.

**b. s.**

## Francuz o wolności

Z artykułu Claude Morgana p.t. „Nie ma wolności przedwstępnej" („Les Lettres Francaises", nr 156):

„Ilu z tych, którzy się skarżą — skoro tylko poczują się do czegoś przymuszeni — że zagrożona jest ich wolność, zadało sobie trud określenia, co rozumieją przez słowo „Wolność"? Oto bowiem słowo, którego nie sposób wytłumaczyć z pomocą negacji a zbyt często tak właśnie się dzieje: obdarza się je abstrakcyjnym znaczeniem, zawsze otwartym dla wszelkich dwuznaczności".

„W swym głośnym odczycie w Sorbonie, Roger Garaudy zanalizował przyczyny obaw, którym ulega wielu naszych pisarzy — i w związku z tym poruszył zagadnienie wolności. Uczynił to, odwracając pogląd Sartre'a. „Człowiek przychodzi na świat i określa się później" — twierdzi Sartre. „Jest wolny". Na to Garaudy odpowiada: „Wolny? Jego wolność odcięta od historii, może być tylko pozorna. My mamy przeszłość. Człowiek jest nie tylko przyszłością człowieka, jest także jego przeszłością. Związek z historią jest więc pierwszym warunkiem wolności".

„Drugim warunkiem jest postęp wiedzy. W przeciwieństwie do tego, co myślał Jan Jakób Rousseau, wolność nie istnieje w stanie przyrodzonym — przeciwnie istnieje tam nieubłagana podległość losowi. Po raz pierwszy Hegel podkreślił ścisły związek między wolnością a koniecznością. Według niego, wolność człowieka polega na zrozumieniu konieczności, t.zn. praw natury, jak i praw społecznych, aby w dalszym rozwoju osiągnąć harmonię z tymi prawami. Oto wolność, suwerenność człowieka, mądrość, harmonia, a nie absurdalna i niszczycielska swoboda czynienia wszystkiego wobec i wbrew wszystkim. Jeśli nie ma „wolności przedwstępnej" (według sformułowania René Maublanc) — obowiązkiem ludzi jest stworzyć tę wolność. Będą to mogli osiągnąć jedynie na drodze świadomej walki, wytrwałego wysiłku czynu i myśli".

„Lecz pewni intelektualności, którzy zrozumieli tę prawdę, cofają się przed konsekwencjami zawartej w niej myśli. Burzy ona bowiem wiele zastarzałych idei i założeń, usuwa wiele wygodnych punktów widzenia, pozbawia wreszcie wielu korzyści! Zamykają się więc w negacji, lub stawiają fałszywe problemy..., organizując opór przeciw radości nowego życia.

„Tak jest trwoga, pesymizm a czasem nienawiść tych ludzi — oto czym muszą płacić ci, którzy raz dokonali fałszywego wyboru. Świat zbuduje się bez nich. Jakże mu to potrafią przebaczyć?"

**Kbr.**

## Uderz w stół...

Przed dwoma niespełna miesiącami ogłosiłem w „Odrodzeniu" artykuł przynoszący szereg materiałów do dyskusji nad reformą naszych uniwersytetów. Były to autentyczne dokumenty, swierdzające niesłychanie niski poziom wielu pomocniczych sił pedagogicznych na uczelniach wyższych. Nie cytowałem ani nazwisk, ani nazw poszczególnych uniwersytetów.

W ostatnim numerze „Tygodnika Powszechnego" niejaki p. Wun staje w obronie Uniwersytetu Jagiellońskiego przed moimi demagogicznymi, jak mówi zarzutami.

Uderz w stół — a nożyce się odezwą. Autentyczne fragmenty profesorskich wypowiedzi w moim artykule nie pochodziły z krakowskiego uniwersytetu. Ale i bez niefortunnego wystąpienia p. Wun'a można było na pewno sądzić, że przeciętny poziom krakowskich pomocniczych sił pedagogicznych jest taki sam, jak gdzie indziej.

A teraz w sprawie demagogii. Mój artykuł i wzmiankowane cytaty dowodziły, iż przeciętny starszy asystent, prowadzący ćwiczenia w rozmaitych zakładach wydziału humanistycznego nie ma pojęcia o swojej specjalności. Cytowałem krzyczące dowody naiwności i ignorancji. Cytowałem przykłady fantastycznej nieporadności w myśleniu historyczno-literackim, zupełnego lekceważenia

# Koty

elementarnych rygorów logicznych i empirycznych w rozważaniach ekonomiczno-społecznych i teoretyczno-prawnych czy ustrojowych. To są rzeczy od dawna znane. Podręczniki naszych, żal się Boże, teoretyków prawa w rodzaju osławionego Jarry były od lat pośmiewiskiem nawet inteligentniejszych studentów.

A jakże pan Wun. broni swoich podopiecznych na katedrach? Uzasadnia, że byli patriotami i że wiele ucierpieli w czasie wojny od Niemców.

Iście profesorska logika! Znałem w Warszawie zacną maglarkę, pracowała czynnie dla organizacji wojskowych, Niemcy ją złupili doszczętnie i trzymali, starą kobietę, w obozie koncentracyjnym. Ale czy to są dostateczne kwalifikacje, aby moją maglarkę mianować kierownikiem katedry teorii prawa? Ja mówię — dowodząc cytatami — że na naszych uniwersytetach hulają ignoranci z uniwersyteckimi tytułami. Pan Wun. staroendecką manierą drze szaty. Żółkiewski — to demagog, bo na uniwersytetach są tylko patrioci. A jak patriota, to musi się już znać na filozofii kultury?

To jest właśnie tania demagogia p. Wun!

**żłk.**

## Duch z garderoby przesądów krytycznych

Zachęcony recenzją zamieszczoną w „Nowinach Literackich" (Nr 11) przeczytałem małą antologię „Liryki romantycznej", opracowaną przez Zofię Szmydtową i przeznaczoną do użytku szkolnego. Antologia ta obejmuje wiersze czterech poetów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida. Dlaczego Norwid został zaliczony przez znaną polonistkę do poetów romantycznych pozostanie jej tajemnicą, zwłaszcza, że autorka wybrała umiejętnie utwory Norwida. Dlaczego recenzent nazwał Norwida „znakomitym epigonem trójcy romantycznej" jest również jego tajemnicą. Ten sąd bezpodstawny, krzywdzący Norwida i ujawniający zupełne niezrozumienie poezji autora „Vade mecum", został już przecież dawno obalony. Poco wskrzeszać duchy z garderoby starych naftaliną pachnących przesądów krytycznych?

Książeczka jest zatwierdzona reskryptem Ministerstwa Oświaty do użytku szkolnego. Tak więc urzędnicy Ministerstwa uważają, jak widzimy, Norwida za poetę romantycznego i tę sugestię, zamazującą zupełnie obraz poezji polskiej, chcą narzucić młodzieży.

Do urzędników Ministerstwa trudno mieć pretensje o takie subtelności treściowe i stylistyczne. Ale przecież „Bibliotekę Autorów Polskich" redaguje komitet w niebylejakim składzie. Od „urzędników lutni" mamy prawo żądać, by orientowali się, gdzie i jaka struna w Lutni liryki polskiej komu przynależy, jaki jest głos jej i jaka siła.

**m.j.**

## Optymista

W nr. 21 „Tygodnika Warszawskiego" niejaki p. Zet w art. p.t. „Jeszcze jedna sprawa", pisze:

„Uporządkowanie popędów nie jest zapewne rzeczą łatwą. Osoby o silnych instynktach muszą się liczyć z trudem nie tylko kilku — ale czasem kilkunastoletnim muszą się liczyć z wysiłkami nieraz bezowocnymi, z oporami w ustroju nerwowym etc. — co jednak nie uprawnia do pesymizmu...

**... Domena obcowania między mężczyzną a kobietą staje się wtedy duchowa i psychofizyczna.** Akt świadomej woli i uczucia przeważa w każdym momencie takiego pożycia usuwając na plan dalszy czynniki ściśle fizjologiczne, **które niekoniecznie muszą występować w formie trywialnego doznania".**

(podkr. nasze)

Poczem z beztroskim optymizmem konkluduje:

„Z takim dorobkiem można swobodnie przystąpić do założenia rodziny...

Katolickiego publicystę rozumiemy doskonale. Przedtem należy się wyszumieć („kilkunastoletnie wysiłki, nieraz bezowocne"), potem domena obcowania staje się duchowa i psychofizyczna, „i nie ma już nic" z „trywialnego doznania", a potem — można założyć rodzinę. Znamy tę metodę. Jest o wiele starsza od „Tygodnika Warszawskiego" i nie wprowadza zbytniej rewolucji w nasze obyczaje. Tylko czy w prognozie co do jej wy-

ników nasz przemiły moralista nie nastraja się zbyt optymistycznie?

**rkm.**

## Uwaga na plaże!

W wydawnictwie Księży Pallotynów p. t. „Królowa Apostołów" (czerwiec 1947) znajdujemy m. in. artykulik ks. prefekta St. Tw. „Do młodych", zawierający szereg wskazań dla młodzieży na czas wakacyjny. Autor artykułu nie zapomina również o plażowaniu, w taki oto sposób formułując swój pogląd na tę sprawę:

„Plaże powinny być oddzielone dla młodzieży męskiej i żeńskiej. Plaża wspólna nie bardzo jest zgodna z surowym duchem czystej i zdrowej moralności katolickiej. „Ciało nasze jest wprawdzie „darem bożym", ale jest również siedzibą wielu występnych żądz. Wspólne przebywanie na plażach wywiera ujemny wpływ zarówno na młodzież żeńską jak męską. Kobietę pozbawia szlachetnego, tak właściwego chrześcijankom poczucia wstydliwości i skromności, na mężczyznę działa w kierunku wyzwolenia i niepanowania nad popędem. Kiedyś zapytała mnie młoda dziewczyna, czy to grzech przebywać na plażach w towarzystwie chłopców. Odpowiedziałem: „A jakbyś się czuła, gdyby tak podeszła do ciebie Najświętsza Panna"? Dziewczyna odpowiedziała bez wahania: „Bardzobym się wstydziła"...

W swoim czasie — było to na parę lat przed wojną — jeden z biskupów polskich ogłosił krucjatę przeciwko... majtkom kąpielowym. Nieodżałowany Boy-Żeleński pisał wówczas w związku z tą sprawą (w felietonie „Sprawy najdrażliwsze"):

„O ile (ta) duchowna pedagogia z lubością przystępuje do obnażania dziecka gdy chodzi o bicie, o tyle jest nieubłaganie sromliwa, gdy chodzi o higienę dziecka lub jego rozwój fizyczny. I to również płynie z jednego źródła: z nieczystej wyobraźni tych wychowawców. Co za warunki i okoliczności podsycają znowuż ową nieczystą wyobraźnię — nad tym zbyteczne byłoby tutaj się rozwodzić...

Natury nie da się oszukać bezkarnie... Drogi, których szuka osławiony instynkt natury, mogą być rozmaite: kręte, niepokojące"...

„Naturam expellas furca, tamen usque recurret", proszę księdza prefekta.

**bd.**

## Wyjaśnienie

W n-rze 21 „Odrodzenia" w recenzji z „Kalendarza Warszawskiego" na rok 1947"

kol. Tadeusz Borowski poświęcił mi nastopującą wzmiankę z wykrzyknikiem:

„Nie wszyscy Polacy wzruszają się „Kalendarzem Warszawskim" — jako przykładem służę swoją osobą. Co prawda trzeba oddać sprawiedliwość Zespołowi Literatów (tak! Brandys między nimi!) i Dziennikarzy, który starał się jak mógł aby mnie wzruszyć".

Otóż z radością wyjaśniam mojemu utalentowanemu koledze, że nie jestem, nie byłem i nie będę członkiem żadnego Zespołu Literatów i Dziennikarzy, zajętych redakcją „Kalendarza Warszawskiego". Po prostu „Kalendarz Warszawski" zwrócił się do mnie o fragment mojej książki. Fragment posłałem, pieniędzy nie otrzymałem, egzemplarza nie dostałem, — ale się nie gniewam. Może to wzruszy kolegę Borowskiego?

**kbr.**

## Sprawa konia

Swego czasu złożyliśmy na łamach „Kuźnicy" podziękowanie jednemu z naszych czytelników zamieszkałych w Ameryce dr F. F. Chaya'owi za prezent w postaci konia, nadesłanego naszej redakcji w jednym z transportów UNRRA. W odpowiedzi na naszą wzmiankę od dr Chaya otrzymaliśmy list treści następującej:

**Do Administracji tygodnika Kuźnica**
**Łódź, Polska**
Dnia 28.IV.1947

Szanowny Panie:

W odpowiedzi na poświadczenie otrzymania konia ode mnie w transporcie UNRRA jakiś czas temu uważam za stosowne wyjaśnić trochę tę sprawę. To się tak stało, że jakiś czas po skończeniu wojny, czyli jakie dwa lata temu chciałem zaprenumerować parę gazet z Polski. I wysłałem w tym celu jako zapłatę za prenumeratę po pięć dolarów przez American Railway Express Co. do „Kuźnicy" w Łodzi, „Głosu Ludu" w Warszawie i jeszcze jakiejś innej gazety w Polsce której nazwisko zapomniałem. To znaczy że chciałem zaprenumerować trzy gazety i posłałem po pięć dolarów jako prenumeratę na pewien czas za każdą i rozumie się zawiadomiłem listownie każdą gazetę o tem.

Wkrótce po tym zacząłem otrzymywać mniej więcej regularnie „Kuźnice" a o „Głosie Ludu" i tej drugiej nie było ani słuchu i nic o nich nie słyszę do tych czas i te dziesięć dolarów co posłałem na prenumeratę za nie, też się nie wróciły i tak się zostało, znaczy się ani gazet ani zwrotu pieniędzy. Lecz z „Kuźnicą" stało się całkiem odwrotnie, bo parę miesięcy po wysłaniu, te pięć dolarów co były posłane jako prenumerata za „Kuźnicę" wróciły się nazad sam nie wiem z jakiej przyczyny, ale gazeta przychodziła tak samo. Nie regularnie, ale mniej więcej parę numerów co parę tygodni i tak było do przeszłej jesieni.

W ten czas ja uważałem za stosowne i prawie konieczne dać Polsce jaką pomoc w jej trudnym położeniu i myślałem, że parę koni może być lepszą pomocą dla Polski niż parę set dolarów dane tutejszej Radzie Narodowej, która dużo radzi ale pewnie nie wiele pomaga Polsce. Więc posłałem jednego konia do mojej żony krewnego co mieszka gdzieś koło Sanoka, a drugiego posłałem „Kuźnicy" bo to jakoś nie pasowało żebyście gazetę bez zapłaty przysyłali i myślałem że wam się może koń przydać do rozwożenia gazety, a jak nie to możecie go sprzedać i przysyłać mi za to „Kuźnicę" przez jakie parę lat. To zdawał się być dosyć rozsądny czyn, ale tak samo coś gdzieś jest nie tak jak powinno być, bo jak bez zapłaty to „Kuźnica" przychodziła, a jak posłałem konia za prenumeratę to zaraz przestała przychodzić i dotychczas się wcale nie pokazuje, i nie wiem jak na takie zagadkowe wypadki w stosunku do polskich gazet zaradzić; ale bądź co bądź ten koń jest własnością administracji „Kuźnicy". Życzę wam szczęścia z niem i mam nadzieję że będziecie mieć więcej korzyści niż kłopotu z niego.

Z uszanowaniem

**Dr F. F. Chaya**

Mamy nadzieję, że w chwili, kiedy słowa te dojdą do autora powyższego listu, będzie on już w posiadaniu wszystkich zaległych

numerów „Kuźnicy", które nie z naszej winy utknęły gdzieś w drodze przez ocean. Ze swej strony zapewniamy, że wg. posiadanych przez nas informacji, koń, którego przekazaliśmy Delegaturze „Czytelnika" zajmującej się administracją i kolportażem naszego pisma, cieszy się najlepszym zdrowiem i stanowi nasze niewątpliwe „habet" na koncie rozrachunków z naszą instytucją wydawniczą.

**rdc**

---

Ktokolwiek by posiadał jakąś wiadomość o Antonim Andrzejewskim, mgr. fil. i socjologii, współautorze antologii poezji polskiej, zamieszkałym w Warszawie ul. Bałuckiego 20, proszony jest bardzo o udzielenie informacji Matce.

Syn opuścił Warszawę 7 września 1939 r. i przebywał jakiś czas we Lwowie.

Jadwiga Andrzejewska
Mokotów, Odolańska 19/8

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpaltę 40 zł.
D—015612 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.